Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

* PAX *

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Na stronie 2:
DOMINIK HORODYŃSKI — O zbliżenie między Niemcami

ROK X. Warszawa, 21 lutego 1954 r. Nr (430) 8

LIST DO PRZYJACIÓŁ W POLSCE

Drodzy Przyjaciele!

Wprawdzie Francuzi posiadają pewną nadmierną skłonność do spoglądania z góry na resztę świata, ja jednak nie przybywam do Polski po to, aby Polakom udzielać rad. Po moim przyjeździe do tego kraju odczułem przede wszystkim, że stary świat został zburzony. Stare narody Europy rzuciły się na siebie i rozdzierały wzajemnie; a jakież tego mamy skutki: miasta zrównane z ziemią, wymordowane rodziny — straszliwe zniszczenie, jakiego my, we Francji, doznaliśmy tylko w niewielkiej części. W Oświęcimiu widziałem do jakich ostatecznych granic może dojść nienawiść człowieka do człowieka. Nie ma dziś „chrześcijańskiego Zachodu", który można by przeciwstawić „Wschodowi". Przede wszystkim należy dogłębnie wykorzenić wszelkie zarodki nastrojów wojennych, by ukazać Bogu odrodzone serca, a ludziom prawdziwe oblicze. Chrześcijanie dali swoje przyzwolenie na wojnę, chrześcijanie pogodzili się z wyzyskiem klasowym. Oto dlaczego nie możemy iść naprzód, ku „chrześcijańskiej Europie", która byłaby prostym wskrzeszeniem starego świata.

W pierwszych szeregach tych, którzy walczą przeciw tej fałszywej Europie, stanęli liczni katolicy francuscy pochodzący ze wszystkich warstw społecznych narodu — tak samo jak to miało miejsce w okresie Ruchu Oporu. W tej mierze — zgodnie z tradycją — pozostali zawsze przeciwni pomieszaniu władz, łączenia Ołtarza z Tronem. Nie chcemy, aby nasza wiara stała się ponownie symbolem pewnego ustroju, nie chcemy, aby stała się motywacją, usprawiedliwieniem swoistej polityki. Tak samo jak za czasów monarchii tak i za czasów republiki Francuzi zawsze przeciwstawiali się zakusom „Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego". Sprawa, o którą obecnie walczą Francuzi, nie jest — jak nigdy może dawniej — sprawą jedynie polityczną. Francuzi nie zapewnią tej sprawie zwycięstwa i nie odnajdą wyjścia za pośrednictwem kurczowego trzymania się form ustrojowych zachowywanych na jakimś izolowanym, ochronionym od wpływów zewnętrznych terenie. Wraz z innymi muszą ponosić odpowiedzialność za sprawy świata, wraz z innymi muszą tworzyć nowe społeczeństwo.

U nas wielu działaczy katolickich rozumie te zagadnienia. Jeśli walczą w pierwszych szeregach przeciw remilitaryzacji Niemiec to przede wszystkim kierując się przesłankami moralnymi. Nie chcą bowiem ponownie popaść w ręce panów dawnej Europy. Nie chciałbym, aby mnie tu ktokolwiek źle rozumiał: nawet w naszym łagodnym klimacie stara Europa jest całkowicie zwiędłą rośliną. We wszystkich dziedzinach młodzież walczy o nowe społeczeństwo. W związkach zawodowych, w stowarzyszeniach studenckich, w komitetach dla pokojowego uregulowania sprawy niemieckiej znajdują się działacze katoliccy, a nawet niejednokrotnie zajmują oni czołowe stanowiska. Wiecie o tym, że niektórzy księża francuscy stali się ubogimi wśród ubogich, nie sądząc, aby miał przynosić im ujmę ubiór robotnika, ubiór, który nosił Jezus. Tak jak do każdej rewolucji, tak samo i do tej zastosować można słowa Pégny: jest ona „odwołaniem się tradycji mniej głębokiej do tradycji głębszej" — stanowi ona w zaraniu budowania nowego świata, nawrót do źródeł ewangelicznych wznosząc się ponad głuche na wszystko samolubstwo świata burżuazyjnego.

Wiecie dobrze, moi Przyjaciele z „Pax'u", że nie jesteście dla nas odległymi cudzoziemcami, których przyjeżdżamy odwiedzać jako turyści. Nasze troski, nasze nadzieje są tak podobne do waszych, mimo iż żyjemy w odmiennych warunkach; Wasze doświadczenia są dla nas bardzo cenne i śledzimy je z pełną życzliwości uwagą. Łączy nas nie tylko wola uniknięcia odrodzenia ofensywnego militaryzmu niemieckiego, który pogrążyłby nasze kraje w wir wojny, łączy nas również żywotne pragnienie braterstwa: nie chcemy, by nas dzieliły nienawiść, gwałt, kłamstwo uniemożliwiające człowiekowi poznanie i pokochanie drugiego człowieka — a w szczególności nie chcemy być oddzieleni od tych, w kręgu których, nasz Boski Nauczyciel nakazał nam żyć, gdyż zgodnie z jednym z ostatnich zdań wypowiedzianych przez Emanuela Mounier „zgorszenie panować będzie w świecie tak długo, jak długo wszyscy chrześcijanie nie potrafią walczyć bez żadnych zastrzeżeń razem ze wszystkimi ubogimi i uciśnionymi".

J. M. DOMENACH.

JEAN MARIE DOMENACH

JAKA EUROPA?

W styczniu br. gościł w Polsce Jean Marie Domenach, obecny redaktor francuskiego miesięcznika katolików społecznie postępowych „Esprit", kontynuator dzieła Emanuela Mounier. Zamieszczając obok list Domenacha, w którym dzieli się on z nami swoimi wrażeniami wyniesionymi z pobytu w Polsce, uważamy za słuszne przekazać naszym Czytelnikom jego artykuł, drukowany 4 XI. 1953 r. w „Le Monde". Artykuł ten ze względu na swoją problematykę i sposób jej przedstawienia zasługuje na uwagę.

Redakcja „Dziś i Jutro"

PO raz trzeci od piętnastu lat życie polityczne Francji zostało do głębi wstrząśnięte. Nie chodzi tu już o sposób organizowania czy też prowadzenia państwa, ale o samą jego egzystencję. Jedne partie się dzielą, a zupełnie nieoczekiwane zbliżenia zarysowują się między partiami przeciwnymi, które — wydawać by się mogło — mają najmniej ze sobą wspólnego. Widzimy więc partie prawicowe rozdzielone: odłam o tradycji bonapartystycznej, inspirowany przez Barresa, połączył się w opozycji z odłamem najbardziej lewicowym; tym, który był zazwyczaj posądzany o „internacjonalizm". Nawet więcej: u niezależnych — radykałowie, socjaliści; można powiedzieć, ci nastawieni najbardziej antykomunistycznie mają mniej niż inni zastrzeżeń, żeby znaleźć wspólny język z partią komunistyczną.

Wokół problemu armii europejskiej wytworzyło się zamieszanie, które jest jeszcze większe niż w roku 1938 albo 1940, dlatego, że decyzja, którą należy dzisiaj powziąć, jest odbiciem tamtych decyzji,które zostały powzięte właśnie w 1938 i w 1940 roku: dzisiaj w każdym obozie dopatrujemy się zwolenników Monachium i Ruchu Oporu.

Nawet biorąc pod uwagę korupcję, ambicję i najważniejszą wadę, jaką jest lenistwo umysłu i słabość charakteru, wierzymy jednak, że głęboka tradycja narodowa i temperament francuski przyczynią się do zburzenia sztucznych ram naszych partii. Stanowiska, argumenty zmieniają się niespodziewanie, nie na skutek złej woli, ale trudno jest przecież człowiekowi w chwilach tak ważnych wyrazić dlaczego zajmuje stanowisko takie, jakie uważa, że powinien zająć, a nie właśnie jakieś inne. Dążenie więc do dokładnego wyjaśnienia musi być bezwzględne, aby decyzja człowieka ukazała się bez osłonek i była odarta z własnej demagogii.

PRESJA AMERYKAŃSKA I PRZEBUDZENIE SIĘ NIEMIEC

W tym ogólnym pomieszaniu pojęć — obrońcy koncepcji armii europejskiej posługują się formalnie takimi samymi argumentami, co ich przeciwnicy. Mówią oni, że „trzeba stworzyć Europę przeciwną duchowi nacjonalizmu". Na nasze zapytanie: „Jaką Europę?" nie odpowiadają wcale. Według nich ustawa uzupełni wszystko. Ich ostatnim argumentem jest traktat. A więc traktat ten jest wynikiem ważnego przeobrażenia: pewne kierunki polityczne, mimo solennych obietnic, doprowadziły do tego, że zastąpiono projekt Mocha obecnym tekstem, który pozornie tylko jest podobny do tamtego projektu, a w rzeczywistości jest jego zaprzeczeniem. Te kierunki polityczne, a więc presja amerykańska połączona z przebudzeniem się nacjonalizmu niemieckiego, są dzisiaj dla nas bardziej niepokojące niż dwa lata temu. Możemy sformułować to w następujący sposób: polityka taka doprowadzi do spaczenia traktatu w czasie pokoju, a w czasie wojny sprowadzi jego znaczenie do zera, tym więcej, że ten traktat wojskowy, wydaje się, nie jest zupełnie pomyślany na ewentualność wojny. A tymczasem — siły polityczne, które oddaliły obrońców Europejskiej Wspólnoty Obronnej o kilka tysięcy kilometrów od ich punktu wyjścia, tak jak by dla nich nie istniały. Nie chcą wziąć ich pod uwagę w swoich obliczeniach. Zamykają się w teoretycznych dociekaniach prawnych albo snują wywody sentymentalne.

Jednym z elementów ich sielanki, którą sobie stwarzają, jest sukces wyborczy kanclerza Adenauera. Cieszą się z tego, że ten znakomity „Europejczyk" odniósł go, sprowadzając prawie do zera głosy neo-nazistów. Ale co to znaczy w praktyce? Pozdrowienia hitlerowskie, piosenki wojskowe, oddziały szturmowe oraz mentalność funkcjonariuszy i członków rządu, którzy istnieli jeszcze przed epoką hitlerowską, a teraz odradzają się, nie zdając sobie sprawy z natury tych wystąpień i nie czując niebezpieczeństwa całej tej polityki.

Zresztą po co ten arsenał faszystowski dla polityki, która korzysta z poparcia Ameryki i wygrywa łatwo na nastrojach antykomunistycznych w niemieckiej opinii publicznej?

Tymczasem dane są niezaprzeczalne: miliony wydane przez wielki przemysł, walczący antykomunizm i ześrodkowanie sentymentu narodowego wokół Adenauera, który nie potrafi wytłumaczyć, jak on rozumie zrealizowanie swoich celów ekspansywnych — bo podwójny zarzut „uogólnień i niesprecyzowania" nie jest sprzeczny, jak zapewniał na łamach naszego pisma Alfred Grosser: odwrotnie, jest od pięćdziesięciu lat wyrazem obaw Francji w stosunku do Niemiec.

W rzeczywistości nie było mowy o Europie w kampanii wyborczej Adenauera i jest kiepskim żartem przedstawiać jako sukces europejski to, co właściwie było jedynie zwycięstwem „człowieka silnego", któremu większość społeczeństwa zaufała, że przyczyni się on do wzbogacenia, zjednoczenia i przywrócenia wielkości Niemiec za pomocą „rozwoju dynamicznego", mówiąc językiem kanclerza.

W JAKI SPOSÓB MAMY KOCHAĆ NIEMCY?

ZARZUCAJĄ nam, że boimy się dynamizmu niemieckiego. Łatwo będzie rozróżnić między politykami europejskimi ludzi najbardziej mężnych, którzy wszystko zrobili zaraz po wojnie, aby pognębić Niemcy; jedni sugerowali podział Niemiec, inni — przestawienie Niemiec na kraj rolniczy. My natomiast proponowaliśmy, aby dana została Niemcom możność rozwoju narodowego, aby nie został powtórzony błąd Wersalu. Myśmy się nie zmienili. Nasi przeciwnicy także nie. Kiedy mówimy o zjednoczeniu Niemiec, przeciwnicy nasi boją się tego, gdyż w głębi duszy oni sami chcą, aby podział Niemiec trwał nadal. Któż więc boi się Niemiec?

Niesłuszne jest twierdzenie, że niechęć do Niemiec wyjaśnia nam wrogą postawę do Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Można kochać Niemcy na różne sposoby. Jeden z nich polega na domaganiu się jedności narodu niemieckiego i przedsięwzięciu środków po to, aby naród niemiecki nie uległ dawnym pokusom. Inny natomiast sposób polegałby na zepchnięciu Niemiec do koszar; w tym wypadku lepiej było by nienawidzieć ich otwarcie, dlatego, że to najpierw doprowadziłoby ich do zguby, a potem dopiero nas. Na żadnym z zebrań zwołanych przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej nie słychać było ani jednego okrzyku nienawiści pod adresem Niemiec. Przeciwnie, jeżeli wielu z nas weszło do tej walki, to przede wszystkim przez solidarność w stosunku do naszych przyjaciół, wolnych ludzi Niemiec, którzy nie powinni po raz drugi ulec fałszywej propagandzie.

PRAWDZIWY RATUNEK DLA EUROPY

SŁYNNY kompleks niższości nie powinien istnieć w naszym narodzie. Ale czyż obrońcy Europejskiej Wspólnoty Obronnej nie posiadają go w stosunku do własnej ojczyzny? Jean Cassou w swojej pięknej książce pt.: „Krótka pamięć" zarzuca Francuzom brak dumy narodowej. I jednych i drugich należałoby zapytać, jakiego losu pragną dla swego kraju?

Znamy doskonale swoje słabości, swoje opóźnienie. Ale wiemy także, że istnieje jeszcze we Francji myśl i oryginalna koncepcja, jeżeli chodzi o filozofię, sztukę, literaturę i religię. Wszystko w tej fałszywej Europie będzie zduszone pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Niemcami, które dążą po mieszczańsku do cywilizacji amerykańskiej. I właśnie my przede wszystkim chcemy bronić suwerenności Francji przez uchronienie jej od odosobnienia pozbawionego sensu. To jest właśnie nasza duma narodowa i tu widzimy prawdziwy ratunek dla Europy. Jakiej Europy? Jakich Niemiec? Jakiej Francji? Ponad etykietami politycznymi, formułami prawniczymi kryją się właśnie te pytania, które trzeba sobie niestrudzenie stawiać. Tak bardzo oddaleni od istoty zagadnienia zwolennicy technokratyzmu europejskiego oraz fanatycy demokracji chrześcijańskiej, są mimo to po tej samej stronie dlatego, że nie bacząc na rzeczywistość, wyżywają się w pasji organizowania; albo w marzeniach. Z drugiej strony natomiast znajdują się politycy z lewicy i prawicy narodowej zajęci konkretnym życiem ojczyzny. Pierwsi z nich kładą nacisk na tradycję narodową, a drudzy przede wszystkim na przyrzeczenie, ale i ci i tamci chcą zgodnie uchronić kraj od wojny i od upadku.

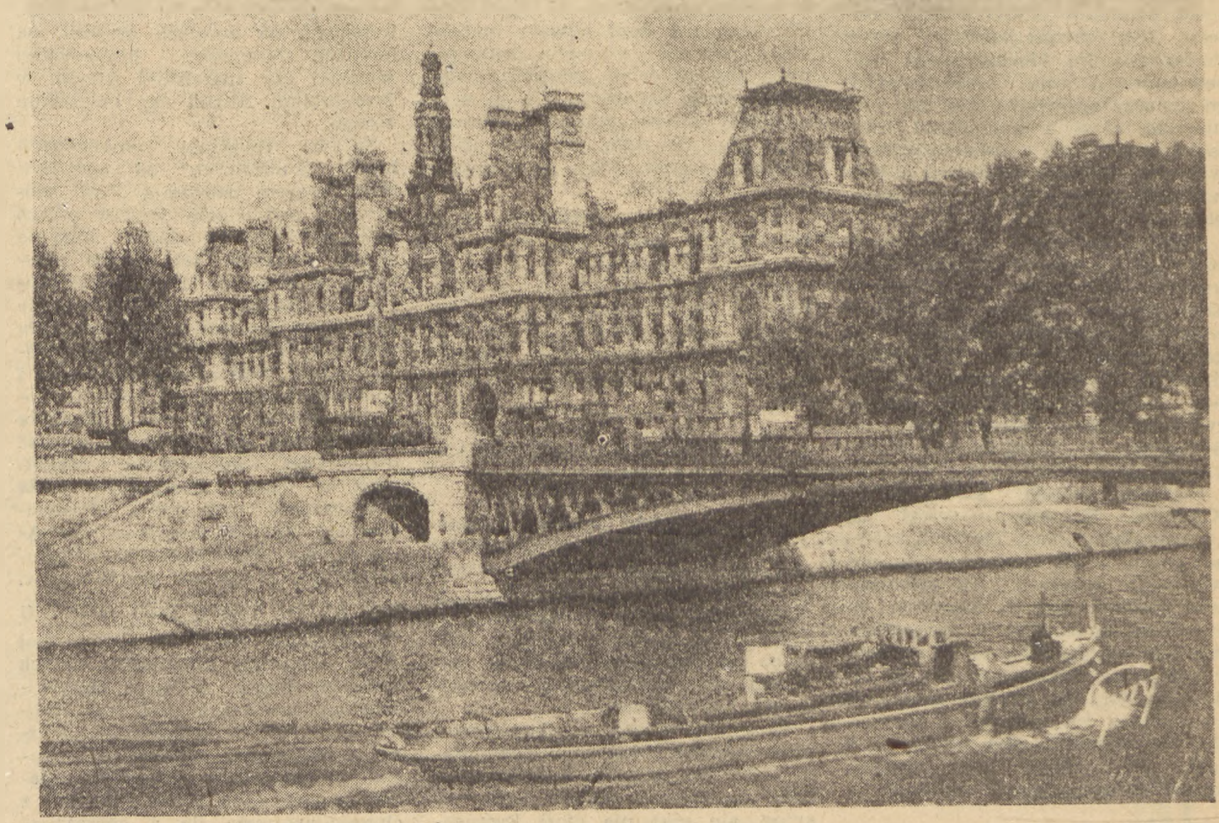

Paryż — Ratusz i most Arcole

DOMINIK HORODYŃSKI

KORESPONDENCJA Z BERLINA

O ZBLIŻENIE MIĘDZY NIEMCAMI

Co dzieje się w Niemczech w chwili, gdy los tego narodu jest przedmiotem obrad 4 ministrów spraw zagranicznych? Jak reaguje niemiecka opinia publiczna, najbardziej ze wszystkich krajów zainteresowana w przebiegu konferencji berlińskiej?

DWA NURTY

NIEDAWNO jeszcze mieliśmy tendencję mechanicznego dzielenia narodu niemieckiego na Niemców dobrych i złych, z założeniem, że wszyscy dobrzy mieszkają w NRD, zaś większość złych w Republice Federalnej. Pobyt w Berlinie w tych dniach niewątpliwie doniosłych poucza nas, jak niesłuszne było to nadużywanie barw białych tylko i czarnych.

Naród niemiecki jest jeden. I w NRD i w Republice Federalnej są środowiska, które wyciągnęły wnioski z przeszłości, są takie, które tych wniosków wyciągnąć nie chcą i nie umieją. Rzecz w tym, że od zakończenia wojny w NRD władza znajduje się w rękach klasy robotniczej i elementów postępowych, w Republice Federalnej zaś w rękach najskrajniejszej reakcji. Ale cały naród niemiecki płaci nadal za przegraną w wieku XVI wojnę chłopską, za przegraną w XIX stuleciu rewolucję mieszczańską i w 1918 r. — proletariacką. Płaci za oddanie się we władzę Hitlerowi i za zbrodnicze szaleństwa niemieckiego faszyzmu. Płaci za to, że niegdyś Bismarck „żelazem i krwią" odgórnie zjednoczył w jedno cesarstwo drobne państewka niemieckie i za to, że w czasie rządów Hitlera nie było potężnego narodowego ruchu oporu.

Taka jest przeszłość narodu niemieckiego i ona warunkuje fakt, że dziś również brak—jeśli idzie i o całość narodu niemieckiego — wielkiego zrywu w kierunku wyzwolenia narodowego, zrywu, którego można by oczekiwać po okresie tak długiego, podziału kraju.

Rozdział obu części Niemiec jest głęboki. W NRD społeczeństwo konsekwentnie wychowywane jest w duchu rewizji przeszłości, pokoju i internacjonalistycznego stosunku do innych narodów. W zachodniej części Niemiec rozdmuchiwany jest kult przeszłości, militaryzm i szowinizm. Życiorysy ludzi rządzących Republiką Federalną, przywódców stronnictw politycznych, dysponentów kapitału czy publicystów i pisarzy wskazują, że są to ci sami ludzie, którzy urabiali opinię publiczną w okresie III Rzeszy. Dzięki początkowej pobłażliwości a później opiece władz okupacyjnych trzech mocarstw zachodnich uzyskali oni pełne szanse ponownego oddziaływania na naród niemiecki, gdyż od 1945 r. byli najpewniejszą rezerwą przeciwko „wywrotowym" poczynaniom komunistów W Berlinie wschodnim wydaje się książki o przyjaźni polsko-niemieckiej, nadaje się ulicom nazwy wielkich Polaków; w Berlinie zachodnim jest ulica im. 17-go czerwca 1953 r., drukuje się znaczki pocztowe z takim samym nadrukiem, dziesiątki broszur rewanżowych, szczujących przeciwko naszemu narodowi.

W KRAJU MĘŻA OPATRZNOŚCIOWEGO

W pierwszych latach powojennych całe Niemcy leżały w ruinie; nędza, bezdomność i głód były udziałem całej ludności. Podstawy potęgi monopolistycznego kapitalizmu niemieckiego były złamane i, gdyby nie polityka amerykańska, klęska jego byłaby ostateczna również na terenie dzisiejszej Republiki Federalnej, tak jak ostateczną stała się na terenie NRD.

Ale w 1947 r. przyszedł plan Marshalla. Dostatecznie dobrze jest znany polityczny sens tego planu, by trzeba go było przypominać. Takie kraje, jak np. Francja czy Włochy miały okazję w pełni poznać jego skutki. Jednakże w stosunku do Niemiec zachodnich plan Marshalla odegrał szczególną rolę. Przypływ kapitału amerykańskiego przyspieszył chwilowy rozwój gospodarki i równocześnie postawił na nogi wielki kapitał niemiecki, oddając stopniowo w ręce jego dysponentów istotną władzę nad krajem.

Okres powojennej nędzy żyje w pamięci wszystkich Niemców. Gdy wzrosło zatrudnienie, gdy ludziom zaczęło się lepiej powodzić, odpowiednia propaganda umiejętnie łączyła te zjawiska z pomocą amerykańską, ze związaniem się politycznym Niemiec zachodnich z Waszyngtonem. „Wszystko, co posiadamy — szeptali i szepczą dobrze płatni propagandziści — zawdzięczamy Ameryce; jeżeli Ameryka nas opuści, popadniemy w straszną nędzę sprzed paru lat". To jest zasadniczy chwyt propagandowy w stosunku do najszerszych mas, w stosunku do ludzi, którzy nie chcą nowej wojny, bronią się przed rewanżowymi nastrojami i nie mają powodu wielbić magnatów węgla i stali. Wzmocniony on jest dwoma dodatkowymi tezami: po pierwsze— Adenauer to człowiek, bez którego Niemcy nie podniosłyby się z ruin, po drugie — gdyby nie Adenauer i wojskowe bazy amerykańskie, armia radziecka byłaby już nad Renem. Niemcy zachodnie to w tej chwili jedyny kraj w Europie, gdzie propaganda zagrożenia wojennego ze strony Związku Radzieckiego jest jeszcze aktualna i gdzie tego kłamstwa używa się, by sankcjonować faszyzm i szowinizm. Gdy te podstawowe tezy propagandowe się przyjmują, powstaje odpowiednia atmosfera dla agitacji „wyższego rzędu": szerzenia buty staro-germańskiej, ducha militaryzmu i odwetu.

Adenauer nie byłby w stanie przy pomocy tylko amerykańskiej osiągnąć tak mocnej pozycji w bloku państw zachodnich, jaką posiada w tej chwili. Waszyngtonowi sekundowała polityka angielska i — z niezrozumiałą krótkowzrocznością — francuską. Zaś na rynku wewnętrzno-niemieckim obok wielkiego kapitału główną siłą wynoszącą kanclerza był i jest episkopat niemiecki. Polityczne koła Watykanu i społeczne organizacje kierowane przez Kościół w Niemczech wytwarzają wokół osoby Adenauera stale i sugestywnie atmosferę męża opatrznościowego, oddarzonego specjalną misją w stosunku do chrześcijańskiego świata. Te smutne dla katolików fakty są w Polsce powszechnie znane. Jednakże tutaj, w Berlinie, w okresie konferencji, gdy stanowiska różnych kierunków nurtujących naród niemiecki uwypuklają się wyraźnie, szczególnie ostro widać, jak ściśle związał się Kościół w Niemczech ze sprawą Adenauera. Politycznie katolicyzm niemiecki ma jak najgorsze tradycje, jednak błędy i nadużycia przeszłości bledną wobec rozmiarów obecnego zaangażowania się po stronie najbardziej wstecznych sił politycznych Niemiec.

Jawni militaryści niemieccy typu Kesselringa, którego fotografie w chwili, gdy oprowadzany przez wyższych oficerów amerykańskich lustruje bazy wojskowe w zachodnich Niemczech publikują pisma ilustrowane ostatniego tygodnia, są dużo mniej niebezpieczni od ludzi, stwarzających im warunki działania. Stwarzanie tych warunków jest stałą troską Adenauera. W jego rządzie znajdują się tacy jak Oberländer — minister od spraw wysiedleńców, i Kraft — minister do zadań specjalnych, którzy obaj w okresie okupacji pełnili wysokie funkcje w Polsce, ostatni w charakterze oficera SS. W Bundestagu panuje taka atmosfera, że poseł Farke mógł przed paroma miesiącami z trybuny językiem hitlerowskim zapowiedzieć: „Niebawem przepędzimy tych untermenschów z niemieckiej ziemi". Co tu zresztą pisać! — czytelnicy naszej prasy codziennej wiedzą, że w Domu Prasowym w zachodnim Berlinie pokój dziennikarzy polskich sąsiaduje z pokojem pana Wernera von Lojewskiego, długoletniego politycznego redaktora „Warschauer Zeitung". Człowiek, któremu powinno być na zawsze odebrane prawo publikacji, jest oficjalnym i głównym reprezentantem agencji prasowej Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii. Tak wyglądają z bliska adenauerowscy obrońcy chrześcijaństwa, kultury europejskiej i Kościoła.

Jedną z tajemnic sukcesu Adenauera jest znakomicie zorganizowana sieć propagandy. Ponad 10 tys. płatnych agitatorów zajmuje się zawodowo propagowaniem osoby kanclerza i jego polityki. Ludność Niemiec nie lubi dyskusji wyłącznie politycznych, nie chce wdawać się w próby analizy sytuacji. Propaganda Adenauera jest pośrednia. Na tysięcznych zebraniach rzekomo niepolitycznych, w klubach, stowarzyszeniach i związkach mowi się o sprawach zawodowych i gospodarczych, przy okazji reklamując EVG, podżegając przeciwko NRD, ZSRR, Polsce i Francji, wspominając chwałę żołnierza hitlerowskiego itd. Co jakiś czas w różnych częściach Niemiec organizowane są głośne akcje pozornie apolityczne. Tak np. we wrześniu 1953 r. ks. Schmidt z Norymbergi urządził napoły religijną manifestację, polegającą na wysyłaniu w kierunku wschodnim balonów, do których przywiązane były egzemplarze Pisma św. w języku polskim, czeskim itd. Przygotowana kampania prasowa wskazywała, że religia na wschodzie jest prześladowana, Pismo św. zakazane i obowiązkiem dobrych chrześcijan jest organizować pomoc duchową przy użyciu wszelkich środków. Ton kampanii naprowadzał czytelnika na wniosek: „jeżeli balony nie wystarczą, siądziemy na czołgi i ruszymy na wschód bronić religii".

Sytuacja ruchów i ludzi postępowych jest pod każdym względem niezmiernie trudna. Demaskując perfidię kłamstw adenauerowskich, muszę przechodzić wprost do zagadnień politycznych, napotykając z miejsca na brak zainteresowania u słuchaczy i czytelników. Ogromny aparat państwowy propagandy, administracji i policji stara się izolować ich od społeczeństwa przedstawiając ich jako obcych agentów. Presja i szantaż materialny stosowane są w całej rozciągłości. Postępowych przedstawicieli mieszczaństwa usuwa się z pracy, odbiera się im licencje, posady, mieszkania. Ten niewesoły obraz nasuwa wrażenie, że podstawy pozycji Adenauera zaczynają się chwiać coraz poważniej. Po okresie względnej prosperity w Niemczech zachodnich od kilku miesięcy rozpoczął się zastój gospodarczy. Liczba bezrobotnych przekroczyła 2 miliony. Następuje zahamowanie produkcji, towary nie znajdują nabywców. W Berlinie zachodnim w sklepach jest więcej sprzedawców niż kupujących, w restauracjach pomimo zjazdu związanego z konferencją — pusto, coraz więcej przedsiębiorstw ulega likwidacji. Wobec tych faktów gospodarczych mit Adenauera zaczyna się rozwiewać. W pierwszym zaś rzędzie jego polityka nierozmawiania z NRD i odcinania Niemiec zachodnich od państw obozu socjalistycznego napotyka na sprzeciw części tego grona przedstawicieli kapitału, które go wysunęło.

W miarę wzrostu trudności gospodarczych w Republice Federalnej Adenauer tym gwałtowniej broni się przed rozszerzeniem kontaktu z NRD. Nie można dopuścić, by zawaliła się fasada, tak kunsztownie wybudowana przez jego długoletnią propagandę. Głód, zakaz poruszania się, „Kirchenkampf" — itp. rzeczy— to obraz życia w NRD, stale wmawiany mieszkańcom Niemiec zachodnich. Gdyby ludzie z Monachium, Norymbergi i Kolonii zaczęli masowo odwiedzać NRD, zobaczyliby, że kultura i nauka się rozwija, że budują się tysiące nowych mieszkań, że na nowych zasadach gospodarczych i politycznych bujnie wzrasta narodowe życie niemieckie. Oglądając np. w Dreźnie świeżo odbudowany kościół św. Krzyża zburzony w 1944 r. przez bomby amerykańskie zrozumieliby, jak oszukuje ich kanclerz, którego prasa podawała niedawno szczegóły wysadzenia w powietrze ruin tego kościoła przez „bezbożny" magistrat drezdeński.

Przegranie wojny psychologicznej przeciwko NRD mogłoby w obecnej sytuacji Niemiec zachodnich oznaczać prawdziwą katastrofę polityki bońskiej. Przeważająca ilość ludności zachodnio-niemieckiej, nie interesującej się polityką i biernie podążającej za Adenauerem, nie chce wojny i nie chce ryzyka związanego z EVG. Natomiast przedłużanie podziału Niemiec, wzajemnej izolacji obu ich części utrwala oddziaływanie militarystów i szowinistów i zwiększa szanse masowego pociągnięcia ludności Republiki Federalnej na drogę awantury.

O ZBLIŻENIE MIĘDZY NIEMCAMI

Od początku konferencji w zachodnim Berlinie podejmowane były najróżniejsze akcje przeciwko NRD. Nie brakowało pomysłowości. Dziennikarzom przysyłano imiennie setki niezmiernie bogato ilustrowanych, luksusowych broszur i wydawnictw, szkalujących życie w NRD. Co kilka dni w prasie zachodnio berlińskiej pojawiają się prowokacyjne informacje: że NRD wystawia ogromną armię, że rozpoczęły się rozruchy w takich to a takich zakładach pracy, że wojsko radzieckie weszło na ulice wschodniego Berlina itd. Wiadomości te ukazują się w dziennikach wieczornych na pierwszych stronach z dużymi tytułami, jako wiadomości najważniejsze. Mimo przygważdżania tych kłamstw przez prasę NRD i odpowiednie konferencje prasowe z masowym udziałem ludności, z reguły nie pojawiają się żadne sprostowania. Jedynym wyjątkiem było umieszczenie sprostowania korespondenta Reutera Levy na temat rzekomych rozruchów w Leuna-Werke. W międzyczasie część „obiektywnych" gazet amerykańskich, angielskich i francuskich przekazuje zachodnio berlińskie kłamstwa dalej.

Mimo tych prowokacji zmierzających do wytworzenia w Berlinie atmosfery, uniemożliwiającej rozmowy międzyniemieckie i mimo odpowiednich zarządzeń Adenauera właśnie w czasie konferencji nastąpił szereg spotkań, bardzo doniosłych dla sprawy zbliżenia między Niemcami.

Przed paroma dniami Gromyko przyjął delegację uczonych i działaczy kulturalnych Niemiec zachodnich, która złożyła na jego ręce rezolucję wzywającą do ścisłej współpracy kulturalnej obu części Niemiec, do wymiany profesorów, studentów, książek, wydawnictw, osiągnięć naukowych. Rezolucję tę podpisał w imieniu kilkudziesięciu wybitnych intelektualistów zachodnio-niemieckich, m. in. znany teolog ks. Roman Guardini.

W ramach zbliżenia ekonomicznego, prawdopodobnie nie bez związku z wspomnianymi przez Mołotowa rozmowami gospodarczymi radziecko-zachodnio-niemieckimi, podjętymi w ub. r. w Kopenhadze, jak też z zamówieniem radzieckim na sumę 80 milionów dolarów dla zakładów stoczniowych Howald w Hamburgu, odbyła się w Berlinie konferencja zachodnio i wschodnio niemieckich przedsiębiorców, na której reprezentowany był przemysł żelazny, maszynowy, tekstylny, konserwowy i inne. W wyniku konferencji powołano komitet dla rozszerzenia handlu między Niemcami, do którego weszło kilkunastu przedstawicieli z każdej strony.

Poza Adenauerem i wbrew niemu dokonuje się zbliżenie między Niemcami. Wszystko, co zmniejsza w najdrobniejszym nawet stopniu przepaść między Niemcami, służy sprawie pokoju. Na tej żmudnej i wymagającej stałych wysiłków drodze pokojowe i demokratyczne — w najszerszym znaczeniu tego słowa— siły Niemiec mogą stopniowo obezwładniać siły agresji i wojny.

Święto Armii Radzieckiej

Przypadająca w dniu 23 b.m. trzydziesta szósta rocznica powstania Armii Radzieckiej wiąże się nierozerwalnie ze sprawą pokoju. Dziś, gdy Adenauer wraz z grupą byłych generałów hitlerowskich pod auspicjami rządu USA dąży do odbudowy Wehrmachtu w celu rozpętania nowej wojny — siła i potęga Armii Radzieckiej nabiera szczególnego znaczenia.

Wszystkie narody europejskie, które podczas ubiegłej wojny zapoznały się z faszystowskimi „kulturträgerami" — widzą w potędze tej armii jeden z podstawowych czynników zachowania trwałego pokoju. Wszyscy ludzie na całym świecie miłujący wolność i pokój wierzą, że Armia Kraju Rad obroni ludzkość przed każdą nową próbą ciemiężenia ludów i jakąkolwiek agresją, tak jak kiedyś obroniła narody Europy przed Hitlerem i jego faszyzmem.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

GWIAZDA

Tu nie było krzyża — lecz gwiazda,
Zagasły w locie meteoryt,
A pod gwiazdą muszla żelazna:
Hełm, szumiący wiatrem znad Odry.

Wypalony w kamieniu napis:
„Piotr Siemionow z Władywostoku"...
Kawał drogi! Olbrzymie skrzydła
Musiał mieć ten radziecki sokół!

Dzielny sokół, serce szerokie...
Tu, pod gwiazdą, rzeźbioną wiatrem,
Śpi żołnierskim snem przy okopie,
Otulony gliną i piachem.

*

Tu jest gwiazda — cisza — i pokój.
Stań, przechodniu, i pochyl głowę.
To, że Odra szumi po polsku...
Przecież za to Siemionow poległ.

JERZY CZAPIŃSKI

O „WYSŁANNIKACH TRÓJCY ŚWIĘTEJ" I O „NIEWOLNIKACH NIEWOLNIKÓW"

„WYSŁANNICY ŚWIĘTEJ TRÓJCY"

NAJPIERW przychodzi kupiec i misjonarz. Potem nadciągają żołnierze i urzędnicy. Taki jest istotnie schemat wielu kolonialnych podbojów XVIII i XIX stulecia. Idee chrześcijaństwa często dostarczają im ideologicznego uzasadnienia. A rola chrześcijańskich misjonarzy sprowadza się do pionierskiej akcji w narzucaniu „kolorowym" ludom systematycznego wyzysku, sycącego polityczną i ekonomiczną potęgę „białych" metropolii.

Tradycje są stare. Sięgają czasów „apostolskiej działalności" Ottonów i Henryków wśród pogańskich Słowian. Tworzą je feudalne wyprawy krzyżowe przeciwko poganom Azji i Afryki. Kontynuują działający wśród Prusów i Litwinów Krzyżacy, a później, „niosący światło prawdziwej wiary" ludom Ameryki — hiszpańscy i portugalscy konkwistadorzy.

Pierwszy wielki konkwistador, Krzysztof Kolumb, nazywał się „wysłannikiem św. Trójcy", którego celem jest „rozszerzenie św. wiary Chrystusowej". To samo mówili Cortez i Pizarro. Słowa te oczywiście są bardzo chrześcijańskie. Ale Kolumb mówił i to także, opowiadając o „Indiosach": „Są to ludzie łagodni, nie znający broni, łatwo byłoby ich ujarzmić i sprowadzić do Kastylii, albo też zrobić z nich niewolników we własnym kraju; stanowią dobry materiał na służących i z łatwością daliby się nawrócić". A wyjaśniając sens swoich wypraw wywodził: „Złoto jest rzeczą doskonałą, ze złota powstaje skarb. Ten, kto je posiada, może uczynić na tym świecie wszystko, czego zapragnie, a nawet zdoła zaprowadzić duszę do raju". Nie Chrystus, nie Jego chwała realizowana poprzez szczęście ochrzczonych jest tu celem, centralną światopoglądową wartością, ale — ekonomiczny interes własny i własnego kraju, ale złoto, ale zysk. Niechrześcijańskość tego światopoglądu jest oczywista.

Ten właśnie niechrześcijański światopogląd demaskuje Bruno z Querfurtu, występując w liście do niemieckiego cesarza w obronie Polski i Słowiańszczyzny. O nim to właśnie mówi Paweł Włodkowic piętnując niechrześcijański charakter misyjnej działalności Krzyżaków.

„...ALE NIKT NIE GŁOSI EWANGELII"

DZIAŁALNOŚĆ misyjną chrześcijan, która służy kolonialnej ekspansji, cechuje nie tylko dominacja aktywności wynikającej z niechrześcijańskiego światopoglądu. Cechuje ją także organizacja obliczona na realizację celów nie mających nic wspólnego z apostolstwem Chrystusowym.

W r. 1947 podczas konferencji protestanckiej Międzynarodowej Rady Misyjnej pewien misjonarz z Indii skarżył się: „Mamy domy misyjne, ale nikt nie głosi Ewangelii". Przyznać trzeba, że oskarżenie to jest aktualne także w stosunku do ogromnej większości misji katolickich. Wincenty Lebbe, wielki misjonarz Chin, oskarżał misje katolickie w Chinach, że — zamiast tworzyć żywy kult Chrystusa — tworzą wśród Chińczyków ośrodki wpływów białych biskupów z „białych koncesji". Nie inaczej kształtowała się sytuacja w Indochinach, Indonezji, na wyspach Oceanii, na terenach francuskiej, hiszpańskiej włoskiej czy angielskiej Afryki, w Mozambiku, Angoli czy belgijskim Kongo.

Sprawa religijnej emancypacji ludów „kolorowych" od wpływów misji, którym patronują „biali zdobywcy", jest ciągle jeszcze paląco aktualna. Sprawozdania misyjne mówią wyraźnie, jak trudno przekonać mieszkańca Laosu czy Murzyna z Kongo, że katolicyzm nie jest jakąś francuską czy belgijską ideologią, ale katolicką, powszechną religią. Powiązania finansowe i polityczne misji z czynnikami kolonialnymi są trudnym do odparcia argumentem. Paraliżują skuteczność działalności apostolskiej, jakkolwiek w sposób niewątpliwy służą utwierdzaniu panowania Francuzów czy Belgów, Anglików czy Amerykanów, Holendrów czy Portugalczyków, Hiszpanów czy Włochów.

NA RUFIE TONĄCEGO OKRĘTU

ZWIĄZEK misji chrześcijańskiej z ekspansją kolonialną białych narodów kręgu greko - chrześcijańskiej cywilizacji jest niewątpliwy. Ale jest to związek historyczny, a nie istotny, wynikający z ducha chrześcijaństwa. Jest to związek łączący kolonializm nie tyle z chrześcijaństwem ile z chrześcijanami.

Argumentów dla poparcia powyższej tezy szukać można nie tylko w porównywaniu ducha katolicyzmu z czynami i światopoglądem takich świeckich chrześcijan, jak Krzysztof Kolumb, czy takich chrześcijańskich duchownych, jak ojciec Olmedo, kapelan wojsk Corteza. Argumentów dostarczają także dzieje misyjnej działalności katolickich świętych.

Mistyczne Ciało Chrystusa — Kościół Katolicki zawierający pełnię autentycznego chrześcijaństwa żyje bowiem nie tylko w prawdach, dogmatach, ale i w świętych. Konfrontacja prawd katolicyzmu z rzeczywistą motywacją związanego z kolonializmem misyjnego apostolstwa wykazuje, jak już wspomniałem, że nie katolicyzm jest motywacyjnym źródłem takiego apostolatu. A porównanie działalności misyjnej świętych z działalnością misyjną kolonializmu wykazuje zasadniczą różnicę ich taktyki.

Jest takie wydarzenie w dziejach św. Franciszka Solano z Zakonu Braci Mniejszych, które w sposób niezwykle wyrazisty objawia nam taktykę autentycznie katolickiego apostolstwa misyjnego. Otóż w r. 1589 Franciszek wraz z kilkoma innymi braćmi, Zakonu udaje się do Peru. Chce prowadzić działalność misyjną wśród Indian. Na statku, którym jadą zakonnicy, znajduje się także ośmiu Murzynów, pogan z Afryki. Niedaleko wybrzeży amerykańskiego kontynentu dogania podróżnych burza, zapędza statek na piaskową ławicę, niszczy uderzeniami fal. Kapitan zwołuje do łodzi wszystkich białych pasażerów i ładuje co cenniejsze towary, a Murzynów... zostawia na pokładzie. I wówczas pośród chaosu rozszalałego żywiołu, w chwili próby, widzimy dwie najzupełniej różne postawy chrześcijan, zakonników, misjonarzy. Franciszek Solano protestuje, oburza się, nie chce zejść do łodzi i wreszcie zostaje na pokładzie tonącego statku wraz z Murzynami. Wszyscy inni zakonnicy schodzą pośpiesznie do szalupy.

Jakkolwiek tylko jeden misjonarz został na pokładzie, to jednak niewątpliwie tylko jego misyjna postawa wynikała z istoty, z ducha katolicyzmu.

Wśród szalejącego oceanu Franciszek dał czarnym katechumenom ostateczne pouczenie o chrzcie świętym. A potem statek załamał się i zaczął szybko tonąć. Wsparł się jednak o piaskową ławicę w ten sposób, że jego rufa unosiła się nad powierzchnią wody. Trzy dni walczyli o życie, paląc ratunkowe sygnały. A potem przyszedł ratunek z peruwiańskiego brzegu.

Zawsze święty apostoł jest z krzywdzonymi, z wyzyskiwanymi. Zawsze zostaje na pokładzie mimo burzy, mimo samotności, mimo to, że inni chrześcijanie schodzą do łodzi. Oto jest taktyka skutecznego apostolstwa misyjnego. Oto jest taktyka autentycznie katolickiej działalności misyjnej, działalności świętych, działalności wynikającej z prawd katolicyzmu i z ducha świętości, ożywiającej Mistyczne Ciało Chrystusa.

Św. Piotr Klawer, który od r. 1610 przez czterdzieści lat pracował wśród murzyńskich niewolników sprowadzanych do robót w kopalniach i na farmach Ameryki, nazywał siebie „niewolnikiem Murzynów na zawsze". Zapomniany i pogardzany — był z nimi, jak prawdziwy niewolnik, jako nędzarz, gnębiony przez „białych władców". Taką też „niewolnicą na zawsze" Indian była św. Filipina Duchesne, córka bogatego przemysłowca. Jej misyjne apostolstwo nie miało nic wspólnego z działalnością, która by pomnażała płynące z kolonialnego wyzysku bogactwo jej ojca, jej narodu, jej rasy. W indiańskim getcie Ameryki Północnej, służąc Indianom biednym i chorym, tak samo jak oni uboga i opuszczona, żyła ta kobieta, nazywana przez Indian „niewiastą, która się ciągle modli", aż do roku 1840, roku swej śmierci.

10.000 YEN

Św. Bruno z Querfurtu przeciwstawiał się ekspansji cesarstwa niemieckiego na wschód niczym jeden z tych, którym ta ekspansja niosła zatratę. Św. Tomasz z Villanueva wyrywał z rąk hiszpańskiej inkwizycji prześladowanych niechrześcijan, sam zagrożony stosem niczym Maur czy Żyd. Wierny wzorom świętości biskup Las Casas przez całe życie walczył o ciała i dusze, o narodową egzystencję i wieczną szczęśliwość „Indiosów" przeciwko hiszpańskim konkwistadorom, potępiając zbrodnie hiszpańskiego kolonializmu. Taką też była droga św. Franciszka Solano, znienawidzonego przez hiszpańskich plantatorów i św. Piotra Klawera, znienawidzonego przez handlarzy „czarnym żywym towarem", i św. Filipiny Duchesne, pokornej sługi indiańskich nędzarzy, i Wincentego Lebbe, walczącego wraz z ludem chińskim o niezależność, o wyzwolenie się z pęt politycznej i ekonomicznej przemocy „białych" mocarstw i japońskiego imperializmu.

Jeszcze w r. 1928 w należących do Anglików i Japończyków fabrykach zatrudniano 6-letnie dzieci, które musiały pracować po 12 godzin dziennie. Jeden z wielu faktów tworzących rzeczywistość kolonializmu! Lebbe te fakty znał i dlatego przeciw kolonializmowi walczył. Tworzył postępową katolicką prasę chińską, głosił hasła społecznego postępu i narodowej niezależności Chin. Jako jeden z przywódców organizował szereg akcji protestacyjnych, które grupowały Chińczyków walczących z bezprawiem i gwałtami obcych wojsk rezydujących w Chinach. Jako kapelan i społecznik brał czynny udział w wojnie z japońskim okupantem.

10.000 yen wyznaczył rząd japoński za głowę O. Wincentego Lebbe. Belgijski faszysta Degrell nazywał swego rodaka „buddyjskim mnichem, najbardziej niebezpiecznym podżegaczem Dalekiego Wschodu", a popierający „cywilizacyjną rolę" białych narodów w Chinach biskupi nie szczędzili O. Wincentemu

(Dokończenie na str. 7)

JERZY S. DAHL

WALKA NARODOWO-WYZWOLEŃCZA LUDÓW AZJI

WSPÓŁCZESNY system kolonialny sięga swymi korzeniami epoki Wielkich Odkryć, tj. przełomu XV i XVI stulecia. Odkryty został wtedy kontynent amerykański i znaleziona droga morska do Indii; zaczęła się budowa pierwszych nowożytnych imperiów kolonialnych — hiszpańskiego i portugalskiego, nieco zaś później — holenderskiego, francuskiego i angielskiego. Ale prawdziwy wyścig o posiadanie kolonii rozpoczyna się dopiero w 70-ych latach ub. wieku, gdy kapitalizm wchodzi w nową, imperialistyczną fazę rozwoju. Wtedy to w nieprawdopodobnie krótkim czasie rozgrabione zostają między wielkie mocarstwa wszystkie „niezajęte" jeszcze kontynenty naszego globu: cała Afryka, wyspy Oceanu Spokojnego i Azja płd.-wsch.; zbudowane zostaje wielkie imperium kolonialne Francji, zakończy budowę swego imperium azjatyckiego Anglia; wyrasta — zburzony potem doszczętnie przez rywali w wyniku pierwszej wojny światowej niemiecki system kolonialny, rozpoczynają gwałtowną ekspansję Stany Zjednoczone. Wreszcie — połączonymi siłami wszystkich tych mocarstw imperialistycznych — wybity zostaje ostatecznie wyłom w odwiecznym murze chińskiego izolacjonizmu, a całe Chiny spadają w krótkim czasie do rangi półkolonii. Jest to prawdziwa „gorączka kolonialna". W rezultacie podział całej kuli ziemskiej zostaje zakończony już w początkach wieku XX.

Eksploatacja bogactw naturalnych i siły roboczej w koloniach, przynosząc kolosalne zyski monopolom, umożliwia pewne — ograniczone, rzecz jasna — podniesienie stopy życiowej ogółu ludności w państwie metropolii. Nie chodzi tu, oczywiście, o jakąś ze strony wielkiego kapitału filantropię czy społeczną bezinteresowność. Wprost przeciwnie — działają tu, skalkulowane z wielką perfidią, względy taktyczne: chodzi po prostu o likwidację rosnącego w masach (zwłaszcza wśród robotników) niezadowolenia i odsunięcie, chwilowe przynajmniej, widma społecznej rewolucji. W sposób bardzo jasny ujął tę taktykę jeden z najaktywniejszych kolonizatorów brytyjskich (założyciel kolonii brytyjskiej w Afryce — Rodezji) — Cecil Rhodes, pisząc: „Imperium to tylko kwestia żołądka. Jeśli nie chcecie wojny domowej, musicie stać się imperialistami". Słowa te były wypowiedziane prawie sześćdziesiąt lat temu, ale po dziś dzień nic nie straciły na aktualności. Za cenę pewnych ustępstw materialnych chce się rozbroić ideowo własnych robotników i uzyskać ów upragniony „pokój klasowy". Kolonializm urasta więc niemal do roli jedynego lekarstwa na tak uciążliwą i spędzającą sen z oczu burżuazji „kwestię społeczną"...

Los, jaki zgotował imperializm koloniom: bezlitosny wyzysk ekonomiczny, ucisk społeczny i polityczny oraz utrzymywanie w ciemnocie mas ludności kolonii — był pierwszą czasowo przyczyną rozbudzenia jej niepodległości i wolnościowej świadomości narodowej i społecznej. Inicjatorem walki narodowo-wyzwoleńczej, realizującym dążenia i żądania mas ludności kolonii oraz czynnikiem walkę tę organizującym — staje się postępowa początkowo burżuazja narodowa.

Polityka narodowej burżuazji kolonii — zrodzonej jako klasa w związku z powstałym i rozwijającym się kolonialnym przemysłem i handlem, mimo postępowania imperialistów zmierzającego do utrzymania charakteru wyłącznie rolniczego krajów im podległych — w swym pierwszym okresie cechuje się dwoma znamionami, które pozwalają określić ją jako społecznie postępową. Pierwszym z nich jest wroga postawa burżuazji narodowej wobec obcego, imperialistycznego kapitału będącego dla niej najbardziej niebezpiecznym konkurentem gospodarczym; tym groźniejszym, że dysponuje on całym aparatem korzystnych dla siebie środków politycznych i gospodarczych. Chęć rozciągnięcia kontroli nad rolniczą i surowcową bazą kraju oraz chęć skaptowania taniej siły roboczej chłopów, ze względu na fakt że oba te „przedmioty" ekonomicznych „pożądań" burżuazji znajdują się w rękach feudałów — skłaniają ją do zajęcia stanowiska antyfeudalnego, co jest drugą cechą postępowego charakteru klasy tej w początkowej fazie.

Tak więc antyimperialistyczne stanowisko burżuazji w jej **sui generis** polityce zagranicznej oraz antyfeudalne w polityce wewnętrznej — decyduje o tym, że w pierwszym etapie walki narodowo - wyzwoleńczej ludów kolonii — właśnie ta klasa, jako młoda i prężna pod wieloma względami, a przede wszystkim, jako klasa postępowa społecznie, staje się hegemonem tej walki.

Walka narodowo-wyzwoleńcza kolonialnych i półkolonialnych ludów Azji — toczona z udziałem burżuazji, chociaż zasadniczo prawie nigdzie nie przybrała charakteru **par excellence** masowego, niekiedy nawet przeciwnie, uciekała się do form indywidualnego terroru — może się jednak pochwalić szeregiem pięknych kart w swej historii. Tu wystarczy, jeżeli wymienimy poprzedzoną przykładem powstań Taipingów (1850—1864) i Bokserów (1899-1901) rewolucję październikową w Chinach w roku 1911 oraz walkę wielkiego Sun Jat-sena i jego postępowej naówczas partii — toczoną w latach dziesiątych i dwudziestych naszego wieku przeciw imperialistom i rodzimej reakcji. Działalność ruchu Kongresu Narodowego w Indiach wymierzoną przeciwko panowaniu brytyjskiemu, prowadzoną w latach 1885—1947, a kierowaną przez takich ludzi, jak Tilak, Gandhi, Bose, Das, Nehru i in.; czy na koniec — walkę ruchu wafdystowskiego w Egipcie pod przewodem Saad Zaghlul Paszy, toczoną przeciw Anglikom w latach 1919—1924.

MOMENTEM zwrotnym w dziejach walki narodowo-wyzwoleńczej kolonialnych ludów Azji stało się zwycięstwo Wielkiej Rewolucji Październikowej. Blisko dwustumilionowe masy robotnicze i chłopskie państwa rosyjskiego, w tym dziesiątki milionów Azjatów, obaliły nienawistny reżim carski otwierając tym samym na rozcież bramę wiodącą do Szczęśliwego Jutra — rozpoczynając budowę socjalizmu w swej ojczyźnie. Wolny Kraj Rad, stwarzając nieograniczone perspektywy rozwoju dla jęczących do niedawna pod butem carskiego despotyzmu azjatyckich ludów Azji środkowej i północnej, stał się wzorem i nadzieją walczących o wolność ludów kolonii azjatyckich, stał się dla nich źródłem natchnienia i pomocy.

Od tej chwili azjatycki ruch narodowo-wyzwoleńczy wkracza w nowy etap swego rozwoju. Ludy Chin, Indii, krajów półwyspu Indochińskiego, archipelagu Sundajskiego i państw Bliskiego Wschodu zyskują w partiach komunistycznych swych krajów nieugiętych przywódców walki, świadomych jej celów i środków, niezachwianie wiernych idei zwycięstwa.

Hegemonię w walce narodowo-wyzwoleńczej na nowym jej etapie zdobywa nowa, najbardziej przodująca społecznie klasa — proletariat. Proletariat w sojuszu z chłopstwem i postępową inteligencją walczą z imperializmem o niepodległość kraju i o nowy ustrój społeczny — demokrację ludową, o przeprowadzenie podstawowych reform społecznych takich, jak nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna. Walka o realizację tych haseł nabiera charakteru masowego, zyskuje poparcie całego narodu.

Wszystko to oznacza koniec przywódczej roli burżuazji w ruchu narodowo-wyzwoleńczym. Cele walki ludów kolonii przerastają już horyzont społecznego widzenia burżuazji. Tendencja tej ostatniej do ograniczenia walki narodowo - wyzwoleńczej na etapie zdobycia formalnej niepodległości, w celu, który pozwolił w pewnym momencie znaleźć się burżuazji w szeregach ruchu antyimperialistycznego, stała się nie tylko niewystarczającą, stała się reakcyjną.

DALSZA droga w historii ruchu narodowo-wyzwoleńczego kolonialnych ludów Azji, jaką poszła burżuazja, jest już drogą zdrady narodowej. Z natury lękliwa i chwiejna — drobna i średnia burżuazja, powodowana ciasnym interesem klasowym, w lęku przed społecznie rewolucyjnym charakterem, jaki nadał walce narodowo-wyzwoleńczej proletariat — bezwolnie poddaje się presji wywieranej na nią przez wielką, tzw. kompradorską burżuazję, związaną tysięcznymi nićmi tak z kapitałem zagranicznym, jak i rodzimymi feudałami — i jawnie przechodzi na stronę imperialistów. Konsekwentnie antyludowa polityka Czang Kai-szeka, oportunistyczna działalność partii Kongresu pod przewodem Gandhi'ego i Nehru — świadomie hamują rewolucyjne i antybrytyjskie nastroje mas ludowych Chin czy Indii; jawnie proimperialistyczne burżuazyjne rządy kolaboracjonistów Roxasa i Qirina na Filipinach; zdradziecka polityka przywódców burżuazji indonezyjskiej Soekarno, Sziarira i Hatta, czy zaprzedane imperialistom brytyjskim burżuazyjne rządy Birmy — Aung Sana i „socjalisty" Takin Nu — oto tylko kilka przykładów zdrady interesów narodowych, jakich dopuściła się burżuazja w imię własnych interesów klasowych.

Walka narodowo-wyzwoleńcza ludów kolonii i półkolonii azjatyckich toczona pod przewodem proletariatu do wybuchu drugiej wojny światowej nabiera coraz większego rozmachu. Najwspanialej rozwija się ona w Chinach, gdzie partia komunistyczna z Mao Tse-tungiem na czele prowadzi robotników i chłopów do rewolucji lat 1925—27, tworzy pierwszy rząd radziecki w 1931 r., organizuje powstanie wielu Chińskich Okręgów Radzieckich i ludowej Armii Czerwonej toczącej zaciekłe walki z wojskami Czang Kai-szeka (których wspaniałym epizodem jest t.zw. Długi Marsz w latach 1934—35) oraz z japońskim najeźdźcą, poczynając od 1937 r. Także i inne kraje Azji nie pozostają w tyle. Strajki robotnicze i powstania chłopskie w Indochinach (przede wszystkim w latach 1930—31), Birmie (1930—32 i 1938—39), Indonezji (na Jawie i Sumatrze, 1927), Indiach (1937—38) czy w Egipcie (1930—36) — są tego dobitnym przykładem.

LATA drugiej wojny światowej są nowym, specjalnie ważnym etapem w dziejach walki narodowo-wyzwoleńczej ludów azjatyckich. Militarna ekspansja cesarskiej Japonii na terenie Azji wschodniej i południowo-wschodniej oraz faszystowskich Niemiec i Włoch — na terenie krajów Bliskiego Wschodu, stawiają ludność Chin, Indochin, Sjamu, Indonezji, Filipin, Birmy i Indii z jednej strony, a Egiptu i krajów Azji Zachodniej z drugiej, w obliczu konieczności podjęcia walki z nowym wrogiem. Walka ta staje się tym cięższa, że większa część burżuazji tych krajów przechodzi na pozycje mniej lub więcej aktywnej współpracy z najeźdźcą — wystarczy tu wymienić nazwiska takich kolaboracjonistów, jak Wang Czing-wej w Chinach, U Ba Maung, Takin Mia i Aung San w Birmie, Qirino na Filipinach, Subhas Chandra Bose w Indiach, Bao Dai w Indochinach czy Soekarno i Hatta w Indonezji. Na czele walki z imperialistami japońskimi staje klasa robotnicza — jej „mózgiem i pięścią" są partie komunistyczne. One to pierwsze rzucają hasło do rozpoczęcia masowej walki — dają przykład ofiarności i wytrwałości w walce. W Chinach Armia Ludowa bierze na siebie olbrzymią część ciężaru walki z Japończykami, pod wodzą Mao Tse-tunga i Czu Teha wyzwala tereny o ponad stumilionowej ludności, zmuszona niejednokrotnie do obrony przed atakami wojsk Kuomintangu. W Indochinach walką kieruje Wietnamska Liga Niepodległościowa (Vietmin), powstała w 1941 r. z inicjatywy partii komunistycznej i jej przywódcy Ho Szi-mina. Organizatorem walki na Filipinach jest utworzony w 1942 r. Jednolity Front Narodowy z partią komunistyczną i socjalistyczną na czele oraz podległą mu Narodową Armią Antyjapońską (Hukbalahap), którą dowodzą Luis Taruc i Pedro Abad Santos. Antyjapońskie organizacje polityczne Birmy tworzą Antyfaszystowską Ligę Wyzwolenia Narodowego na czele z komunistami Takin Tan Tun i Takin Soe oraz Birmańską Armię Narodową, która rozpoczyna walkę z Japończykami w 1942 r. Niepodległościowy ruch w Indonezji organizują komuniści i lewica socjalistyczna, walczą narody Malajów i Korei, dają swój wkład w walkę z Japonią Indie, z Niemcami i Włochami — Egipt i kraje Bliskiego Wschodu.

DRUGA wojna światowa na Dalekim Wschodzie kończy się klęską Japonii i jej kapitulacją 2.IX. 1945 r. Na klęskę Japonii złożyły się tak działania sił zbrojnych sojuszników — ZSRR, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Chin, jak i walka z najeźdźcą prowadzona przez ludy krajów Azji, okupowanych przez Japończyków. Ale czynnikiem, który o klęsce tej zadecydował, było przystąpienie Związku Radzieckiego do wojny z Japonią i sukcesy Armii Czerwonej, które doprowadziły do zniszczenia najlepszej z japońskich armii, t.zw. Armię Kwantuńską.

Zwycięstwo nad „trzema faszyzmami" i powstanie w jego wyniku bloku państw demokracji ludowej, wywarło ogromny wpływ na dalszy rozwój walki narodowo - wyzwoleńczej ludów Azji. Zwycięstwo to — doprowadzając do pogłębienia światowego kryzysu systemu kapitalistycznego, przynosząc dalsze osłabienie frontu państw imperialistycznych (skompromitowanych w dodatku na terenie Azji klęską poniesioną przez nie w pierwszym stadium wojny z Japonią) oraz wzmacniając siły demokracji i socjalizmu — stało się dla ludów kolonii nową pobudką do wzmożenia walki o wolność.

Z drugiej jednak strony, państwa kolonialne nie zrezygnowały w istocie rzeczy — mimo pewnych, czysto formalnych pozorów ustępstw — z dążenia do utrzymania swego stanu posiadania. Pod egidą arcymonopolistycznych Stanów Zjednoczonych, z ich pomocą ekonomiczną, polityczną i wojskową — Wielka Brytania, Francja i Holandia oraz półkolonialne reżimy takich krajów, jak do niedawna Chiny kuomintangowskie, a dziś jeszcze Filipiny, Japonia i Korea południowa, wypowiedziały bezlitosną walkę ludom podległych im krajów.

W stadium walki narodowo-wyzwoleńczej ludów Azji, którego jesteśmy obecnie świadkami, najdłuższą drogę do osiągnięcia upragnionego celu wydają się mieć jeszcze ludy rządzonych przez imperialistów amerykańskich półkolonii — Taiwanu, Korei południowej i Japonii. Czang Kai-szek, Li Syn-man czy Yoshida — wyraziciele interesów burżuazyjno - feudalnych utrzymują się przy władzy jedynie dzięki amerykańskim bagnetom, czołgom i okrętom. Ciężką, ale nie beznadziejną walkę o wolność swego kraju toczy przede wszystkim japońska partia komunistyczna pod przywództwem Tokudy — mimo prześladowań odnosi ona coraz nowe sukcesy.

W takich na przykład krajach, w latach 1945—48 opuszczonych formalnie przez Anglię, jak Indie, Pakistan i Birma czy przez Holandię, jak Indonezja, oraz w półkoloniach, jakimi są Egipt i Iran — u władzy znajduje się miejscowa burżuazja. Jej przywódcy, a przede wszystkim Nehru, Soekarno czy Nagib, prowadząc reakcyjną politykę wewnętrzną (w ramach demokracji parlamentarnej czy dyktatury), napotykają na zdecydowany opór rządzonych przez siebie ludów. Idąca od zwycięstwa do zwycięstwa komunistyczna partia Indii — druga co do wielkości (jak wykazały wybory 1952 r.) grupa polityczna kraju, jednolity front komunistów i socjalistów Indonezji, zwycięska w „bitwie o naftę" irańska partia Tudeh — oto czołowe oddziały ludów tych państw. Ich uporczywa walka zmusza rządy burżuazyjne do ustępstw w polityce zagranicznej wobec żądań mas ludowych i do utrzymywania przynajmniej pozorów niezależnego postępowania.

Grupę krajów, których walka nosi charakter zbrojny, stanowią Wietnam wraz z Laosem i Kambodżą, Filipiny i Malaje. Ludy Wietnamu, Laosu i Kambodży toczą już od blisko dziewięciu lat walkę z imperialistami francuskimi o niepodległość swych krajów — przewodzi jej powstała w latach ostatniej wojny Vietmin, która w wyniku wyborów wyłoniła koalicyjny rząd demokratyczny Republiki Wietnamskiej, na czele z prezydentem Ho Szi-minem. „Brudna wojna" w Wietnamie, tak niepopularna w samej Francji, prowadzona jest jedynie w oparciu o najemne wojska i amerykańską pomoc wojskową; przynosi imperialistom coraz to nowe klęski. Na Filipinach walkę z wysługującym się imperializmowi amerykańskiemu reżimem Qirina prowadzi powstała w 1950 r. Narodowo-Wyzwoleńcza Armia (Hukbong) z Louis Taruc na czele. Krwawe walki, pełne hitlerowskich wręcz okrucieństw ze strony kolonizatorów, toczy również zjednoczony proletariat i chłopstwo brytyjskiej Federacji Malajskiej.

Do narodów, które oswobodziły swe kraje całkowicie lub częściowo od jarzma imperializmu, należą — Mongolia, Chiny i Korea. Mongolska Republika Ludowa z pomocą Związku Radzieckiego wywalczyła swą niepodległość już w 1921 r. W Chinach Armia Ludowa w czteroletniej walce z Kuomintangiem wyzwoliła całe terytorium kraju wypędzając czangkaiszekowskie niedobitki i umożliwiając tym samym proklamowanie Ludowej Republiki Chin (1.X.1949 r) oraz powołanie rządu ludowego z Mao Tse-tungiem i Czou En-laiem na czele. Z tą chwilą Chiny Ludowe wkroczyły na drogę budowy ustroju demokracji ludowej. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna powstała w 1945 r. na terenach Korei oswobodzonych przez Armię Radziecką — po 40 latach niewoli japońskiej. Proces budowy ustroju demokracji ludowej w KRLD przerwała agresja amerykańsko-lisynmanowska w latach 1950—53, która przekształciła się w wojnę narodową o niepodległość i zjednoczenie kraju, a zakończyła — klęską najeźdźców.

Walka narodowo - wyzwoleńcza ludów Azji — zarówno tych, w których panuje jeszcze imperializm, tych, w których toczy się jeszcze walka o wolność, czy tych, w których buduje się już podwaliny ustroju Przyszłości — walka ta trwa. Wbrew wszelkim wysiłkom imperialistów — prowadzona jest ona przez olbrzymie masy ludowe, toczona o słuszną sprawę i ciesząca się żywym poparciem Związku Radzieckiego i innych krajów Obozu Pokoju oraz całej postępowej ludzkości. Będzie rosnąć i rozwijać się, zakończy ją całkowite zwycięstwo.

Małe dzieci ciężko pracują na plantacjach w Indochinach

Ofiara głodu w Indiach

MICHAŁ NOWACKI

KONKURENCJA ANGLO-AMERYKAŃSKA W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

W wyniku II wojny światowej oraz zaostrzeniu się przeciwieństw w obozie państw kapitalistycznych — sytuacja Wielkiej Brytanii na rynku światowym uległa radykalnemu pogorszeniu. Nie tylko straciła ona ogromną część swych **avoirów** zagranicznych na rzecz kapitału amerykańskiego, ale jej zdezorganizowany gospodarką wojenną przemysł z trudem tylko wytrzymywał konkurencję eksportową przemysłu Stanów Zjednoczonych. Amerykańskie kompanie handlowe wykorzystały koniunkturę wojenną dla zagarnięcia rynków obsługiwanych poprzednio przez eksport angielski. Pozycję Wielkiej Brytanii pogarszał jeszcze fakt, że w latach powojennych musiała ona korzystać z finansowej pomocy amerykańskiej dla podtrzymania swej zachwianej sytuacji gospodarczej, co siłą rzeczy uzależniało ją od kapitału amerykańskiego i zmniejszyło możliwości w walce o odzyskanie utraconych pozycji na rynku światowym.

Poza znaną walką o naftę na Bliskim i Środkowym Wschodzie — terenem, gdzie konkurencja między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi występuje w sposób najbardziej jaskrawy i charakterystyczny—jest Ameryka łacińska, obfitująca w bogactwa naturalne i pozbawiona dostatecznie rozwiniętego przemysłu. Z tego względu oraz wobec taniości siły roboczej, spowodowanej nędzą szerokich mas ludności, inwestowany kapitał pozwala realizować stopę zysku niezwykle wysoką, niespotykaną gdzie indziej.

Zbadane dotychczas w Ameryce łacińskiej pokłady ropy wynoszą 18 proc. zapasów światowych, miedzi — 40 proc., a rudy żelaznej — 21 proc. Niezmiernie bogate są również złoża cyny, ołowiu, wolframu, saletry i innych ważnych minerałów, nie mówiąc już o surowcach gospodarki rolnej, jak kawa, zboże, tytoń, cukier, mięso, skóry itd. W 1952 r. obliczono, że wwóz krajów Ameryki łacińskiej wynosił 9 proc. całego importu światowego. Nic więc dziwnego, że walka o opanowanie tego rynku i o możność inwestowania tam kapitału zajęła pierwszoplanowe miejsce w konkurencji dwóch największych dziś państw imperialistycznych.

Do I wojny światowej Anglicy zajmowali zdecydowanie górującą pozycję w gospodarczej eksploatacji kontynentu południowo - amerykańskiego. W okresie międzywojennym Anglicy zostali zepchnięci przez Stany Zjednoczone na drugie miejsce, ale pozycje obu konkurentów były mniej więcej zrównoważone. Dopiero po II wojnie światowej Stany Zjednoczone stały się czynnikiem dominującym w życiu gospodarczym Ameryki łacińskiej. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że Wielka Brytania zrezygnowała całkowicie z walki. Jej powojenne starania ratowania zagrożonego stanowiska na arenie światowej skoncentrowały się w dużej mierze na wysiłkach poprawienia sytuacji drogą zwiększenia swego udziału w kolonialnej eksploatacji bogactw Ameryki łacińskiej. Konkurencja amerykańsko - angielska przybrała tam głównie formę walki o rynki zbytu i o inwestycje kapitałowe, zwłaszcza na odcinku eksploatacji tamtejszych surowców.

*

EKSPORT Stanów Zjednoczonych do Ameryki łacińskiej wynosił przed II wojną światową 34 proc. puli importowej tych krajów. Przy końcu wojny eksport ten wzrósł już do 59 proc. kosztem eksportu europejskiego, a głównie — brytyjskiego. W 1946 r. Stany Zjednoczone wywoziły do krajów Ameryki łacińskiej przeszło czterokrotnie więcej towarów niż Anglia. W. Brytania zachowała jednak możliwość walczenia o poprawę tej sytuacji na

(Dokończenie na str. 6)

BOHDAN GĘBARSKI

KRAINA STU SIEDEMDZIESIĘCIU JĘZYKÓW

INDIE miały kiedyś w Europie „dobrą prasę". I to dość długo, bo od wielkiego Aleksandra i aż po późne średniowiecze. Szukano do nich najwygodniejszych dróg, odkrywając przy tej okazji nowe kontynenty. Nazywano na ich cześć archipelagi i oceany. Potem podbito je i zapomniano — na dobre paręset lat.

Ten sentyment Europy do Indii był zresztą miłością bez wzajemności. Hindusi wcale nie tęsknili do losu, jaki Europejczycy zgotowali amerykańskim Aztekom, Mayom i Peruwiańczykom. Tym bardziej, że biednych czerwonoskórych wyżynano w zbożnym przeświadczeniu, że to są właśnie Hindusi.

Poza tym Indie były w sensie kulturalnym całkiem samowystarczalne i miały wszelkie dane po temu, by tak samo jak Europa, uważać się za środek świata. Tym bardziej, że nie obca im była megalomania, tyle, że na ogół w lepszym stylu od europejskiej.

*

NA wstępie należy się parę słów wyjaśnienia samego terminu „Hindus". Ma on bowiem aż cztery odrębne znaczenia. Pierwsze i najściślejsze oznacza człowieka posługującego się w domu językiem Hindustanu i ponadto uważającego się za Hindusa. Ten ostatni warunek jest bardzo istotny, tym samym bowiem językiem posługują się i muzułmanie, którzy się za Hindusów nie uważają. W sumie — język Hindustani jest dziś mową ojczystą co najmniej 140 milionów ludzi — najliczniejszego ludu Indii i Pakistanu. Ale lud ten, na skutek różnic religijnych — umiejętnie zresztą rozdmuchiwanych przez Anglię — rozpadł się na dwa odrębne narody, podobnie, jak gdzie indziej uległ rozszczepieniu lud Serbo-Chorwatów. Obie odmiany języka Hindustani (hinduska i muzułmańska) uznane są za języki urzędowe — obok angielskiego. Pierwsza w Hindustanie, druga — w obu częściach Pakistanu (przypominam, że Pakistan składa się z dwu części, odległych od siebie o 1000 km w linii powietrznej.

Geneza rozpadnięcia się ludności Hindustanu na dwie części jest powszechnie znana. Po prostu część tubylczej ludności pod wieloletnimi rządami muzułmanów przyjęła islam, a wraz z nim wprowadziła do języka szereg wyrażeń perskich i arabskich — zwłaszcza z dziedziny religii oraz terminologii politycznej i naukowej. Ta muzułmańska odmiana Hindustani nazywa się Urdu, co znaczy dosłownie: „horda", „wojsko" i jest mową ojczystą około 40 milionów muzułmanów.

Pozostałe 100 milionów stanowi więc właściwy naród hinduski, choć na upartego można by jeszcze z niego wyłuskać trzydziestomilionowy naród Biharów i dwunastomilionowy — Radżanów oraz parę pomniejszych ludów, które posługują się mową Hindustani raczej „od święta" — jako językiem literackim i inteligenckim, na domowy zaś użytek mają rozmaite narzecza swoich starych i pięknych języków. Niektóre z nich (jak np. Biharowie) miały niegdyś nawet własne bogate literatury i zachowały odrębne narodowe alfabety (por. niżej).

Mówiąc nawiasem — język tych stu milionów, które uznaliśmy za Hindusów w najściślejszym znaczeniu tego słowa, nie jest dziś już czystym Hindustani ludowym, jakim był przed paroma wiekami. Przez antagonizm do muzułmanów, szukających dla Urdu trudniejszych terminów w arabskim i perskim, Hindusi sięgnęli po to samo do swego starożytnego języka literackiego—sanskrytu i tym samym sztucznie zarchaizowali (w sensie leksykalnym) swoją odmianę Hindustani. Jednocześnie wprowadzili do niego sporo wyrażeń angielskich, przez co jeszcze bardziej go oddalili zarówno od Hindustani sprzed dwustu lat, jak i od dzisiejszego Urdu.

Ten współczesny język literacki nazywa się Hindi.

Hindi i Urdu są więc dwoma bliskimi sobie formami tej samej mowy Hindustani. Pierwszą posługują się właściwi Hindusi, drugą muzułmanie. Obie są językami stosunkowo młodymi: pierwszy z nich jest rówieśnikiem współczesnych języków europejskich, bo ma około 1000 lat — oczywiście w swej pierwotnej, nieskażonej obcymi naleciałościami postaci — drugi zaś jest o parę wieków młodszy.

W gruncie rzeczy dziś jeszcze różnice pomiędzy obydwiema odmianami języka są niewiele większe niż pomiędzy mową Polaków w kraju, a mową polskiej emigracji w trzecim pokoleniu w Chicago, czy Westfalii, z tym, że pomiędzy literackim Urdu a literackim Hindi istnieje cały wachlarz pośrednich dialektów, bo przecie oba ludy były ze sobą pomieszane aż do roku 1947. Wyznawca hinduizmu mieszkał obok muzułmanina, z którym codziennie obcował i obaj mówili wspólnym urdu-hinduskim narzeczem.

Ale podobieństwo Hindi i Urdu ograniczało się do słowa mówionego. Oba narody posługują się bowiem zupełnie odrębnymi alfabetami: Hindusi — rozmaitymi alfabetami miejscowymi, z których najważniejszym i najbardziej rozpowszechnionym jest Devanagari (dosłownie: „miejskie pismo bogów") — oraz na północy i w Biharze — alfabetami Grantha i Kaitni, Urdowie - Pakistańczycy — pismem arabskim, bądź też bardziej przystosowanym do języka Urdu pismem perskim Devanagari i inne pisma miejscowe czytane są od lewej ręki do prawej (jak europejskie) i są sylabowe, a więc trudne do zapamiętania, arabsko-perskie zaś — pisane odwrotnie, z prawej do lewej, są spółgłoskowe, czyli znów bardzo trudne do odczytywania.

Oba języki posiadają bardzo bogate literatury — do połowy XIX w. reprezentowane przede wszystkim przez poezję religijną i miłosną, a w czasach nowszych — raczej przez powieść i dramat. Nowoczesną literaturę hinduską charakteryzują na ogół tendencje postępowe i demokratyczne, urduską odwrotnie — reakcyjne i antydemokratyczne. Nie będę tu kreślił ich dziejów, bo brak na to miejsca, ale do tematu tego jeszcze powrócę, bo dotychczas nie ma w tej materii jakichkolwiek polskich publikacji.

Rzecz prosta, że literatury w języku Hindi nie należy utożsamiać z literaturą staroindyjską, pisaną w dawno umarłych językach: wedyjskim i sanskrycie, a następnie w *pali* i innych dialektach tzw. *prakrytu*, które były w użyciu w okresie od V w. przed Chr. do X w. po Chr. Z prakrytu dopiero (a ściśle z jego dwóch narzeczy północnych) ukształtował się w końcu pierwszego tysiąclecia *Hindi-Hindustani*. Mamy więc całą dynastię języków: od wedyjskiego do Hindi. Są to wszystko tzw. języki aryjskie, spokrewnione z greką i łaciną, a z języków żywych — szczególnie blisko z litewskim.

Hindusów w najściślejszym znaczeniu, a więc ową stumilionową masą mówiącą językiem Hindi, proponuję po polsku nazywać *Hindami*, a ogół ludności mówiący tym językiem — *Hindo-urdami*.

*

DRUGIE znaczenie wyrazu „Hindus" jest znacznie szersze, ale za to nie obejmuje tych Hindów, którzy wyznają chrześcijaństwo, sikhizm, dżynizm i budaizm, no i — rzecz prosta — muzułmanów. Pod terminem tym rozumie się więc ogół wyznawców owego dziwnego zespołu najrozmaitszych wierzeń, które obejmujemy wspólną nazwą hinduizmu. Jedyną formalną oznaką przynależności do tej najbardziej ekskluzywnej religii świata — nie znającej do niedawna instytucji misjonarzy i neofitów — jest przynależność do jakiejkolwiek kasty „czystej" albo „nieczystej". Formalnie zrównane ze sobą na mocy konstytucji Hindustani z r. 1949, pozostają nadal głównym źródłem wewnętrznego rozbicia narodów indyjskich i uświęconej wiekami pogardy dla kast najniższych — „dzieci bożych", według wzruszającej terminologii Gandhiego.

Ogółem wyznawców hinduizmu według „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej" jest 265 milionów.

Ogół wyznawców hinduizmu — proponuję dla uniknięcia nieporozumienia, nazywać nadal w języku polskim nie Hindusami lecz *hinduistami* (ale nie brahmanistami, bo ten termin jest z rozmaitych powodów nie do przyjęcia).

*

TRZECIE znaczenie wyrazu „Hindusi" obejmuje ogół mieszkańców Hindustanu — państwa (a więc prawie 360 milionów ludności) bez różnicy wyznania, czyli zarówno hinduistów (poniżej 280 milionów), bo część wyznawców hinduizmu pozostała w Pakistanie,*) jak i chrześcijan (6 milionów), sikhów (również 6 milionów), dżynistów (poniżej 2 milionów), buddystów z obszarów podhimalajskich (niewiele ponad 1/4 miliona)** i nawet parsów, mieszkających w liczbie około 120 tys. w okolicach Bombaju, choć są tu oni elementem napływowym. Poza tym do Hindusów należy tu zaliczyć również 25—30 milionów wyznawców rozmaitych prymitywnych kultów animistycznych i tych muzułmanów, którzy dobrowolnie pozostali w Hindustanie i mimo różnicy wyznania uważają się za Hindusów. Tych ostatnich, według moich obliczeń, zostało tu jeszcze ponad 35 milionów, z ogólnej liczby około 100 milionów indyjskich mahometan.

Termin *„Hindus"* jest w tym trzecim znaczeniu użyty właściwie i powinien być, moim zdaniem, w tym właśnie wypadku stosowany.

*

NAJSZERZEJ pojęty termin „Hindusi" obejmuje mieszkańców wszystkich sześciu państw indyjskich i jest ścisłym odpowiednikiem terminu „Europejczycy". W skład tak pojętej wspólnoty indyjskiej wchodzą więc mieszkańcy Hindustanu (350,8 mil. wg. 1951), Pakistanu (73,3 mil. wg. danych prowiz.), Kaszmiru (z górą 4 mil. wg. 1941), Nepalu (6,5 mil. z 1947), Butanu (0.3 mil. wg. danych prowizorycznych) i Cejlonu (7,1 mil. z 1948). Łącznie 448 milionów ludności (przy czym cyfra ta jest dolną granicą stanu obecnego).

Obszar wymienionych tu państw wynosi odpowiednio: 2940 tys. km. kw. 935 tys., 218.7 tys., 140 tys., 50 tys. 68 tys. W sumie około 4350 tys. km. kw.

Tak szeroko pojęty termin Hindusi jest niewłaściwy i powinien być zastąpiony innym wyrazem, najlepiej często używanym przed wojną terminem *Indusi*. (Indie jako część świata, Hindustan jako państwo).

*

TEN olbrzymi świat indyjski, mówiący 170 językami i narzeczami, a posługujący się dwudziestoma kilkoma alfabetami, składa się z ludów pochodzących z siedmiu odrębnych grup językowych: indoariów, irańczyków, dardów, mong-khmer, munda, tybeto-birmańczyków i drawidów. Z ludów tych ukształtowało się kilkanaście narodów, w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, z których każdy posiada dziś już własną (czasem nawet bardzo bogatą) literaturę i z reguły niemal... własny alfabet.

Najważniejszą grupę (w sensie liczby i ciężaru gatunkowego) stanowią ludy mówiące językami indo-aryjskimi, a niesłusznie uważane w czambuł za potomków szczepu, który w drugim tysiącleciu przed Chrystusem wtargnął do Indii północno-zachodnich odpychając ku południowi drugą co do ważności grupę ludów indyjskich, t.j. drawidów.

Najliczniejszym ludem grupy indo-aryjskiej są Hindo-urdowie, o których powyżej mówiliśmy, w ogólnej liczbie 140 milionów, rozbici dziś (wyłącznie na tle wyznaniowym) na dwa oddzielne narody. Nie są one jednak jedynymi spadkobiercami języka dawnych arijów.

Trzecim wielkim narodem posługującym się mową indo-aryjską, a mieszkającym na wschód od Hindów — są Bengalczycy (z górą 60 milionów), przeważnie muzułmanie. Stało się to pretekstem do odebrania wschodniej Bengalii (łącznie ze skrawkami sąsiedniego Assamu) od Hindustanu i stworzenie z niej enklawy Pakistanu. Spowodowało to straszną nędzę ludności, wschodnia bowiem Bengalia jest największym na świecie producentem juty, ale zupełnie nie może jej przerabiać, bo nie posiada fabryk, a zachodnia odwrotnie — nie ma plantacji, ale za to dysponuje olbrzymim przemysłem włókienniczym nastawionym przede wszystkim na wyrób tkanin jutowych i zamierającym obecnie z braku surowca.

Muzułmanie bengalscy nie używają alfabetu arabsko-perskiego, lecz — podobnie jak ich współziomkowie w zachodniej Bengalii — posługują się narodowym pismem Bengalii, z kształtu podobnym do Devanagari. Wschodnia Bengalia (enklawa Pakistanu) ma 44 miliony mieszkańców — czyli więcej niż cały pozostały Pakistan, zaś zachodnia (będąca prowincją Hindustanu) — zaledwie 22 miliony i to łącznie z olbrzymią Kalkutą. Literatura bengalska uchodzi za najbogatszą z narodowych literatur Indii i jest jedynym piśmiennictwem nowo-indyjskim znanym w całej Europie, dzięki przekładom dzieł Rabindranatha Takhura (Tagore). Język bengalski różni się od hinduskiego w stopniu nie mniejszym niż włoski od hiszpańskiego.

Czwartym narodem indo-aryjskim mieszkającym na północo-zachód od Hindów są Pendżabici (30 milionów), posługujący się własnym narodowym pismem Gurmukhi, a na zachodzie — pismem Landa. Pierwsze jest używane przez wyznawców wojowniczej sekty sikhów, którzy długo byli postrachem państwa Wielkiego Mogoła, a potem Anglików. W XX w. stanowili oni jednak w ojczystym Pendżabie już zaledwie nieznaczną mniejszość (6 milionów na 30 milionów), gdy większość narodu przyjęła islam. Pendżab, przepołowiony między Pakistanem i Hindustanem — podobnie jak Bengalia — stał się widownią najstraszniejszych rzezi, których ofiarą byli przede wszystkim znienawidzeni przez muzułmanów sikhowie. Wiele miast i setki wsi zniknęło zupełnie z powierzchni ziemi. Fanatyzm religijny obu stron, umiejętnie podsycany przez tyle lat angielskich rządów, przyniósł tu najstraszniejsze owoce.

W języku Pendżabi istnieje ciekawa literatura religijna i polityczna sikhów — pisana pismem Gurmukhi.

Piątym co do wielkości narodem Indii, a jednym z pierwszych pod względem bogactwa rodzimej kultury, są Marathowie żyjący na południowy-zachód od Hindów. Jest ich około 25 milionów, a więc mniej więcej tyle, co Polaków w granicach Rzeczypospolitej. Literatura marathyjska — obok hinduskiej, urduskiej, bengalskiej i piśmiennictwa drawidyjskiego ludu Tamilów — należy do pięciu wielkich literatur nowoindyjskich. Marathowie posługują się własnym pismem Modi oraz Devanagari i pismami drawidyjskimi.

Pozostałe większe narody tej grupy — to przede wszystkim Oriasi (13 milionów) posługujący się okrągłym pismem Oria, zupełnie niepodobnym do Devanagari oraz jedenastomilionowy naród Gudziaratów posiadający również własny alfabet; używają go także parsowie, dla których język Gudziarati stał się już mową ojczystą. Sindhowie (naród — nie utożsamiać z sektą sikhów!), włączeni przeważnie w granice Pakistanu, a liczący około 4 milionów, posługują się bardzo dziwnym alfabetem Banya, który przypomina niezgrabne pismo odręczne w jakimś języku europejskim. Tyleż mniej więcej ludności liczy bardzo interesujący naród syngaleski, skupiony na południu Cejlonu. Używa on niezwykle pięknego alfabetu, powstałego najwidoczniej pod wpływem alfabetów drawidyjskich.

Z ludów tych najciekawsze piśmiennictwo posiadają Gudziaratowie i Oriasi. Naród gudziaracki dał Indiom Mahatmę Gandhiego.

Na wschód od pakistańskiej Bengalii wschodniej leży Assam (7 milionów ludności), kraj całkowicie niemal odcięty od reszty Hindustanu. Właściwych Assamitów jest co prawda niewiele: ponad dwa miliony, ale nadają oni całej prowincji piętno swej indywidualności narodowej, gdyż pozostałe 5 milionów mieszkańców należy do drobnych i zacofanych ludów, mówiących językami aż trzech odrębnych grup (munda, mong-khmer i tybeto-birmańskiej). Assamici stworzyli bardzo ciekawą literaturę. Własnego alfabetu nie posiadają, lecz posługują się pismem bengalskim.

Pozostałe drobne ludy indo-aryjskie (Bhilowie, Gurkowie z Nepalu i in.) używają przeważnie pisma Devanagari.

Ogółem w Hindustanie, w Pakistanie, na Cejlonie i w krajach podhimalajskich posługuje się językami indo-aryjskimi ponad 300 milionów ludzi.

*

DRUGA pod względem liczebności grupa ludów indyjskich posługuje się językami drawidyjskimi. Drawidowie zamieszkują zwartą masą całą południową część Dekanu i północ Cejlonu. Rozpadają się na cztery wielkie narody (Telugowie — 30 milionów, Tamilowie — 24 miliony, Kanaressowie — 13 milionów i Malajalowie — 10 milionów) oraz wiele drobniejszych szczepów, rozsianych wśród ludów indoaryjskich. Jeden z tych szczepów, Brahui, ostał się na dalekim zachodzie, w pakistańskiej prowincji Beludżystan. Wielkie narody drawidyjskie posiadają własne bardzo bogate literatury, z których najstarsza (i najbogatsza) — tamilska sięga do pierwszych wieków ery Chrystusowej. Równie ciekawie prezentuje się piśmiennictwo współczesne wszystkich czterech narodów. Zwyczajem indyjskim każdy z nich posiada własny alfabet.

*

NA zachodzie i na północnym zachodzie kontynentu indyjskiego głęboką zatoką etniczną wdarły się weń ludy irańskie, językowo pokrewne indo-ariom. Tu należą przede wszystkim patanowie (Afgańczycy), których jest w Pakistanie z górą 5 milionów, Beludżowie (tamże, ok. miliona) i inni pakistańscy Patanowie posiadają własne piśmiennictwo, które jest powiązane z literaturą Afganistanu. Ważnym ośrodkiem patańskiego życia literackiego w Pakistanie jest miasto Peshavar.

Ogniwem pośrednim pomiędzy językami irańskimi i indo-aryjskimi są języki dardyjskie w zachodnich Himalajach. Najważniejszym skupiskiem ludów dardyjskich jest Kaszmir. Właściwi Kaszmirowie używają alfabetu Sarada, który jest odmianą Devanagari a Ladakowie ze wschodniego Kaszmiru — pisma tybetańskiego, z lekka zmodyfikowanego; reszta pisze po persku.

Ludy mówiące językami należącymi do grup: mong-khmer, munda i tybeto-birmańskiej rozsiane są pomiędzy ludami indo-aryjskimi, przede wszystkim w Assamie i Oryssie oraz na terenach podhimalajskich. W Butanie stanowią większość ludności. Alfabetów własnych (z wyjątkiem Rongów z Sikkimu), o ile mi wiadomo, nie posiadają i posługują się pismem Devanagari, tybetańskim, birmańskim bądź łacińskim (które tu wprowadzili misjonarze). Niektóre z ludów tych stoją jeszcze na poziomie prymitywnej wspólnoty plemiennej i własnego piśmiennictwa w ogóle nie posiadają.

Dla nakreślenia pełnego obrazu olbrzymiej rozmaitości pism używanych w Indiach należy dodać jeszcze, że dwa niewielkie ludy indodardyjskie, mieszkające w północnym Hindustanie, na pograniczu Kaszmiru i Tybetu (Czambiale oraz Kanaurowie) używają dwóch bardzo różniących się od siebie odmian pisma Tankri.

*

TAK wygląda w najogólniejszych zarysach geografia kulturalna olbrzymiej części świata, która przed siedmioma laty przestała być (przynajmniej formalnie) kolonią Europy. Co więcej, olbrzymi Hindustan coraz częściej brany jest pod uwagę, jako szóste mocarstwo świata. Życzyć sobie należy jedynie, by to miejsce w świecie istotnie uzyskał, wyzbywając się tego wszystkiego, co go osłabia: obcego kapitału, który stawia pod znakiem pytania jego suwerenność, olbrzymiej armii bezrolnych i bezrobotnych, przeżytków feudalnych i kastowych oraz obcego języka urzędowego, którym na mocy konstytucji z r. 1949 jest na lat 15 język angielski.

Ten artykuł nie rości sobie pretensji do nakreślenia pełnego obrazu dzisiejszych Indii. Wymagałoby to wielotomowego studium, a przede wszystkim — sumy spostrzeżeń, które mógłbym zdobyć tylko na miejscu, w nieustannej konfrontacji aktualnych publikacji z własnymi obserwacjami. Nie będę więc tu mówił ani o penetracji obcego kapitału, który ma w ręku pewne gałęzie przemysłu indyjskiego niemal w 100 proc.; ani o katastrofalnym i wciąż postępującym kurczeniu się gospodarstw chłopskich na rzecz wielkiej własności ziemskiej; ani o dwóch ostatnich epidemiach głodu, które pochłonęły *30 razy więcej ofiar niż wojna* (8 milionów zmarłych z wycieńczenia wobec dwustu kilkudziesięciu tysięcy Hindusów poległych na wszystkich frontach). Nie odbiegając od zasadniczego tematu, jakim są tym razem dla mnie zagadnienia narodowościowe Indii, ograniczę się do zasygnalizowania niebezpiecznych pęknięć, które zarysowują się na olbrzymich gmachach Hindustanu i Pakistanu właśnie od tej strony.

Przyjmując podział Indii na dwa olbrzymie organizmy jako fakt dokonany (choć dla ludności kraju raczej niekorzystny) należy stwierdzić narastające w obu państwach niebezpieczeństwo ruchów odśrodkowych jako naturalną konsekwencję narzucenia ich wielonarodowej ludności języka Hindo-Urdów. Do r. 1964 posiada on rangę drugiego języka urzędowego (po angielskim), po czym stanie się jedynym językiem państwa, choć z górą trzysta milionów mieszkańców nie rozumie go wcale (jak nie rozumie i języka angielskiego). Administracyjny podział krajów poszedł również po linii błędnej, tworząc nowe jednostki terytorialne (stany) według szablonu istniejącego za czasów angielskich (dawne prowincje i księstwa, względnie związki księstw), nie uwzględniając zupełnie terytorialnego rozmieszczenia poszczególnych narodów. Toteż nie można odmówić słuszności tezom indyjskich komunistów, którzy w projekcie swego programu postulują m. in.:

„Art. 26. Prawo wszystkich narodowości do samookreślenia. Republika Hinduska jednoczy narody różnych narodowości Indii nie w drodze przemocy, lecz na podstawie dobrowolnej zgody na utworzenie wspólnego państwa."

„Art. 27. Przekształcenie (w drodze likwidacji księstw) istniejących sztucznych prowincji lub państw w państwa narodowe na zasadzie wspólnoty języka. Okręgi zamieszkałe przez plemiona lub też okręgi, w których ludność ma specyficzny skład i różni się specyficznymi warunkami społecznymi, lub posiada w swym składzie mniejszość narodową, będą miały autonomię terytorialną i rządy lokalne."

„Art. 29. Prawo ludności do pobierania nauki w szkołach w języku ojczystym. Prawo używania języka ojczystego we wszystkich instytucjach społecznych i państwowych. Posługiwanie się językiem Hindi, jako ogólnohinduskim językiem państwowym, nie będzie obowiązkowe".

(Projekt programu Komunistycznej Partii Indii, ogłoszony 29 kwietnia 1951 r. w postaci dodatku do pisma „Svandhinata", ukazującego się w Kalkucie).

Nie ulega wątpliwości, że zapewnienie narodom Indii najpomyślniejszych warunków rozwoju swych indywidualnych kultur leży w interesie całej ludzkości oraz jest największym obowiązkiem i sprawą honoru obu rządów indyjskich w tym przełomowym momencie dziejów olbrzymiego kontynentu.

GRUPY JĘZYKOWE INDII

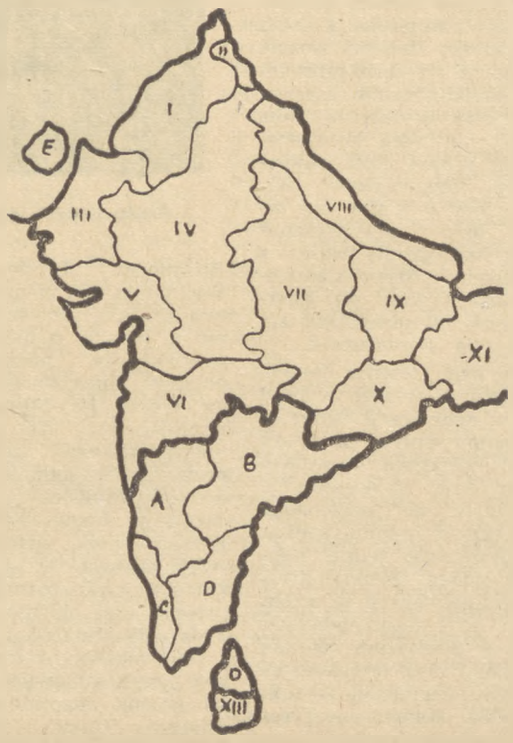

Języki Indoeuropejskie

I. Pendżabski, II. Kaszmirski, III. Sindhi, IV. Rajasthani, V. Gudzarati, VI. Marathi, VII. Hindi, VIII. Pahari, IX. Bihari, X. Oriya, XI. Bengali, XII. Assami, XIII. Syngaleski

Języki Drawidyjskie

A. Kanaresi, B. Telugu, C. Malayalam, D. Tamil, E. Brahui

*) ponad 12 milionów.

**) Poza tym 3 mil. buddystów mieszka na Cejlonie oraz znaczna ilość w Nepalu i Butanie.

WSPÓŁCZESNA POEZJA INDYJSKA

tłumaczył BOHDAN GĘBARSKI

Sukanta Bhattacharia

PROZA

O życie me!
Nie trzeba więcej snów,
Nie trzeba wierszy
Z ich obłudną pozą!
Na alarm bij
Ze wszystkich sił —
Prozą!

Niech zginie
Poezji wonny czad!
Młotem...
Najcięższym młotem wal!
Choćby trysnęła stal
Potem.

Dość prząść subtelną nić
Wielobarwnej tandety!
Od dziś wam urlop daję
Sonety!

Przecie mój lud
Tak prozaicznie jest
Z głodu spuchnięty
I chory,
Że jeden tylko księżyc —
Ze wszystkich rekwizytów
Firmamentu —
Coś mówi mi,
Bo przypomina
Placek z kory.

Kharindranat Chattopadkhaya

KŁAMSTWO

Tyś poeta! I pięknie opiewasz
Barwnych makat subtelne odcienie,
Łoża ambrą skropione,
Poduszki
I dessous o kolorze migdała.
A czyś kiedy opiewał,
Poeto,
Te kobiety jak cienie,
Co sprzedają za chleba kawałek
Młode ciała?

Ja słyszałem, żeś odszedł od życia
I samotnie gdzieś tkwisz,
By się porać
Z opisami zachodów jedwabnych
Na dalekim, bezludnym podgórzu.
A czyś kiedy przystanął
W olśnieniu,
Widząc oczy człowieka-upiora,
Krwią nabrzmiałe od nocy bezsennych
I zmętniałe
Od łez i od kurzu?

Głupcze! Ty, co handlujesz milczeniem
Planet, mknących jak psy po wszechświecie
Piaskiem gwiazd,
Rozsypanych po niebie
I kometą płynącą pod prąd,
Czy ty wiesz,
Że twe pyłki świecące,
Rozproszone by pieprz w galarecie,
W głodnych oczach
Do krost są podobne,
Które toczą chorego na trąd?

Tyś poeta! A przecież opiewasz
Rzeki tkane ze srebra i słońca,
W czasach, gdy całe miasta znikają,
Zamienione w ruiny i kał.
A miliony nędzarzy,
Wycieńczonych robotą bez końca,
Giną po to
Żebyś ty,
W luksusowych warunkach,
Dalej łgał.

Tyś poeta, co trwa bez ustanku
W kontemplacji nad pięknem przyrody,
W dociekaniach nad ludzką naturą
I subtelną gradacją uczucia!
Może spojrzałbyś jednak
Na dzieci
Wysuszone jak wióry,
Którym krwi już zabrakło
I płuc nie wystarcza
Do plucia.

Vallathol

OJCZYZNA

(Wyjątki ze zbioru „Hindustan śpiewa")

Tak, dumniśmy —
i mamy
ku temu prawo —
że nie byliśmy
ludem wojowników,
tych co
zdobywali sławę
i niewolników
w ogniu —
poprzez stulecia
walk bez pardonu,
we krwi
pomordowanych dzieci
przeciwnej strony.

Niewielki byłby to
zaiste
nabytek
w naszym godle —
za cenę wielu trupów,
te łupy,
zdobyte
podle.

O Indie!
kraju smutnych twarzy,
kraju nędzarzy
i głodnych dzieci,
moja największa na świecie
miłości!
Łzami i krwią
obcych narodów
poić nie będziesz ty
ogrodów
swojej wielkości
i nigdy —
wierzcie mi —
z ojczyzny
bambusowych gajów
nie spadną
miecze Kriszny
na zgubę małych krajów
Zbyt wielką duszę masz,
Ojczyzno,
byś tak
pojęła sens wielkości,
jak ci,
co swej historii szlak
zabudowali,
nam na znak,
wieżami z ludzkich kości.

Boś ty jak słoń,
co rwie i gnie
i łamie stal łańcuchów,
nie poto, by

na ludzi gnać
kosmatą zawieruchą,
a poto, żeby spieszyć tam
gdzie,
w nieustannej nocy,
podobni mu
dźwigają tram
i próżno zwą
pomocy.

Od wieków —
niby rzadki kwiat —
wytryskał z ziemi
Sindhu [1]),
nie poto
by
zatopić świat
falami wody wzdętej,
a poto, by
krzepiący chłód
przeniknął w grunt
spragniony wód
ojczyzny mojej świętej.

Kharindranat Chattopadkhaya

DESZCZ PADA

Deszcz ulewny jak spod kranu
Gna w asyście huraganu.
— Litościwy i ogromny,
Powiedz mi,
Gdzie jest teraz
Mój przyjaciel —chłop bezdomny?
Gdzie on drży?

Leje deszcz
I dom mój nędzny
W wodzie tkwi
Jak kadłub arki.
Deszczu!... Deszczu!...
Twe zalety
Przemawiają do poetów,
Gdy nie cieknie im za karki.

Pada deszcz
I woda pryska
Na gościniec.
Mówi mi znajomy żebrak
Z twarzą siną:
— Wolę z dwojga złego słońce
Niż ten mrok.
Wolę smażyć się na słońcu
Cały rok.
Wolę upiec się na słońcu
Na ulicy,
Niż nabawić się malarii
W tej zimnicy...

Pada deszcz
I woda spływa
Gołym ciałem.
Iluż w życiu tych
Półnagich
Spotykałem,
Pod zasłoną z mokrych szmat,
Osiwiałych
I zgrzybiałych
W kwiecie lat.

Plecie deszcz w połowie lata
Wodne sieci.
Czemużby nie uczcić wierszem go
Poecie?
Tyle, że uczciwie się z faktami liczę —
Widzę ludzi pod parkanem
A więc krzyczę.

[1]) Indyjska nazwa rzeki Indus

KONRAD EBERHARDT

DZIEJE OSZUKANEJ MŁODOŚCI

WSPÓŁCZESNA literatura francuska przeżywa bardzo intensywny „najazd debiutów", co być może jest zapowiedzią przezwyciężenia tylekroć omawianego kryzysu. Zjawisko to obserwujemy przede wszystkim na terenie powieści postępowego obozu. Iluż młodych dziennikarzy i dziennikarek z „Humanité" czy „France Nouvelle" chwyciło za pióra, aby zmierzyć się z trudnym zadaniem utrwalenia w tworzywie literackim widzianego przez siebie obrazu rzeczywistości. Wiele tych prób ukazało się drukiem. Przybyła do nich ostatnio „Roqueblanque" Marie-Louise Barron oraz „A bras le corps" Dominique Desanti. Jean-Pierre Chabrol wydał swą pierwszą powieść o tematyce wietnamskiej „La dernière cartouche" („Ostatni nabój"). Przy tej ostatniej książce pragnę się zatrzymać. Swoją dojrzałością niewątpliwie wyróżnia się od tamtych. Zajmie swoje miejsce na półce obok innych współczesnych powieści „wietnamskich": „La riviere noire" (Czarna rzeka), doskonałej powieści Pierre Courtade'a, czy „La bataille dans la rizière" (Bitwa na polu ryżowym) Jules Roy. Ale równocześnie książka ta jest więcej niż tylko tzw. „próbą" czy „startem".

W KRĘGU TRAGICZNEJ POMYŁKI

„Je suis prêt à mourrir pour le Roi et pourtant sa cause est mauvaise".

A. de Vigny

NIE spodziewałem się, że zaledwie w trzy miesiące po wykończeniu szkicu o Erneście Psichari pt. „Tragiczna pomyłka centuriona" *) ten sam problem pomyłki — lub może lepiej: oszukanej młodości — powróci do mnie z tą samą siłą, jak wówczas. Wydało mi się, że pożegnałem na długo sylwetkę młodego oficera francuskiego, który walcząc z oddziałami wyzwoleńczymi w Afryce Północnej sądził, że bije się dla prawdziwej Francji, a w pierwszej wojnie światowej witał krucjatę za ideały, którym poświęcił życie. A tymczasem... w książce Jean - Pierre Chabrol wszystko wydało mi się znajome i bliskie. Ten sam problem... Podobny bohater, Christian Besseges, który napojony wiarą w chwałę, wielkość Francji, jej misję dziejową i cywilizacyjną, sloganami co najmniej z czasów Napoleona I — wyrusza na front wietnamski. Ale nie tylko przypominał mi Ernesta Psichari. Znalazłem się również w kręgu problematyki wielkiego romantyka Alfreda de Vigny, którego słowa coraz częściej rozbrzmiewają we Francji, rozdartej tak głębokimi konfliktami. To on, wierny sojusznik Burbonów napisał to zdanie wyrażające głęboką walkę sumienia człowieka z obowiązkiem żołnierza. „Jestem gotowy umrzeć za króla, mimo, że sprawa jego jest niesłuszna".

Od czasów Alfreda de Vigny minęło ponad sto lat, od śmierci Ernesta Psichari pod Rossignol 40 lat — ale sprawa umierania za „niesłuszną sprawę" jest nadal aktualna. Zarówno tamten filozof romantyzmu, jak również Maksencjusz z powieści Ernesta Psichari, czy Christian Besseges z powieści J. P. Chabrol znajdują się w tym samym kręgu tragicznej pomyłki. Mimo gorzkich lekcji historii, dwóch wojen i aktualnej bezsilności Francji — młodzi chłopcy giną w Wietnamie w imię haseł dawno nieaktualnych i pozbawionych pokrycia. Te słowa Ernesta Psichari mógłby powiedzieć nie tylko Maksencjusz, ale i Christian Besseges: „Kolonie są ostatnim ujściem dla energii narodowej i ostatnimi miejscami, gdzie mogą kształtować się nasze najlepsze uczucia, gdzie ostatnie silne porywy mogą znaleźć pole dla swego rozwoju"... I obaj zostali oszukani.

MIĘDZY FANTAZJĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ

ŻYCIE człowieka wzbogaca się w ciągu swego trwania w zdarzenia, zjawiska i odczucia, tak jak kula śnieżna staczając się ze zbocza owija się w warstwy śnieżne i rośnie z sekundy na sekundę — pisał Bergson. Z drugiej strony życie ludzkie toczy się nie na jednej płaszczyźnie, ponad poziomem rzeczywistości realnej istnieje świat złożony z naszych wrażeń, odczuć i pragnień. Często dramatem bywa synchronizacja obu płaszczyzn.

...Oto scena, na której rozwija się dzieciństwo i wczesna młodość Christiana, syna przeciętnej, średniomieszczańskiej rodziny: małe, prowincjonalne miasto francuskie w okresie okupacji niemieckiej; liceum: profesorowie, koledzy, nieodstępny przyjaciel. Dom, kochający rodzice, półka z ulubionymi książkami. Za oknami stukot podkutych butów niemieckich. Wśród książek: jedna należy do tych, których wspomnienie towarzyszy w życiu. „Przygody kapitana Bournazel w czerwonym burnusie". Dzieje walecznego żołnierza francuskiego, który zginął wśród piasków afrykańskich za chwałę Francji i on staje się symbolem Christiana.

„...Bournazel — oto wódz i bohater!" Widział go: wypięta pierś, galopujący koń. I jego czerwony burnus rozwiewa wiatr. Brązowy z błyszczącym okiem. Zawsze w pierwszym szeregu... Czerwona plama odcina się na nieskażonej bieli piasku. Uosabia Francję. Jest strzałą, którą wysłała ona aż tutaj... „W imię bohaterskiego Bournazela młody Christian wybija wraz z kolegami szyby hitlerowskiego klubu. Jego imię przyjmie jako pseudonim wstępując w wieku osiemnastu lat do podziemia. Christian bez zastrzeżeń wierzy w szlachetność misji francuskiego kapitana. Szlachetność! Ileż oburzenia budzi w nim widok ludzi torturowanych przez Gestapo, jest pewien, że zawsze będzie umiał bronić wolności człowieka, która przecież jest świętą wartością.

Czas przemija szybko. Nadeszła dojrzałość, kończy się okupacja, walka podziemna. Christian wstępuje do szkoły oficerskiej w St. Cyr. Po pięciu latach powraca do rodzinnego miasta w oficerskim mundurze i z rozkazem wyjazdu do Indochin w kieszeni. Wydaje się, że zastał miasteczko takim, jakim niegdyś je pozostawił, ale przecież coś się w nim zmieniło, tak jak gdyby przesunęło się na jakiejś ogromnej scenie obrotowej. Wita go inny nastrój, munduru nikt z zachwytem nie podziwia, a wiadomość o wyjeździe do Indochin przyjmowana jest niechętnie. Christian gotów jest przekonywać wszystkich o słuszności sprawy, przecież ideał jego młodości, kapitan Bournazel, walczył również o Francję na oddalonych od niej ziemiach Afryki. (Pamiętacie dyskusję Maurycego Vincent z ojcem, antymilitarysta z powieści E. Psichari „Zew broni" (L'appel des armes)? — „W armii kolonialnej jest wielka siła i przyszłość..."). Niestety, prawie z nikim nie może znaleźć porozumienia. Nawet stary Profesor z Liceum, jego dawny powiernik, nie rozumie już entuzjazmu swojego ucznia dla „brudnej wojny".

— Francja jest wszędzie, gdzie łopocę jej sztandar — woła Christian do starego Profesora.

— Francja jest tam, gdzie powiewa sztandar wolności — odpowiada tenże.

Christian wyjeżdża żegnany gwizdem tłumu, pobity przez młodych robotników, którzy niegdyś wyratowali go z rąk Gestapo... I tak nagle podporucznik Christian Bessèges wraz z mitycznym kapitanem z fantazji znaleźli się w pustce.

LIŚCIE UMARŁE

„Le bourreau est aussi une victime..."

KAT również jest ofiarą. Wstrzymać niesłuszną wojnę — to nie tylko zachować przy życiu tych, przeciwko którym była prowadzona, ale również wyzwolić prowadzących ją" — tak pisze współczesny pisarz francuski André Wurmser w artykule o powieści J. P. Chabrol.

Wyzwolić prowadzących wojnę... Przeciętnie w Wietnamie ginie dziennie jeden oficer francuski, w ciągu roku liczba ta staje się większa niż ilość opuszczających szkołę oficerską w St. Cyr. Podróż z Metropolii do Wietnamu oddalonego o 10.000 km trwa więcej niż miesiąc i żołnierze odbywają tę drogę stłoczeni w zaduchu na najniższym piętrze statku. Przybywają na miejsce rozbici fizycznie i moralnie. Ponieważ front pochłania stale nowe rezerwy ludzkie — żołnierzy wysyła się niemal natychmiast do puszczy i morderczy klimat dopełnia reszty. Jeśli dodać do tego fakt, że między wartościową młodzieżą francuską zagarniętą w ten lub inny sposób znajdują się jednostki wykolejone i przestępcze pozwalające sobie na wszystko — obraz dwustronnego spustoszenia fizycznego i moralnego staje się kompletny.

To były pierwsze spostrzeżenia Christiana na ziemi wietnamskiej. Wysłany w kilka dni po przybyciu na placówkę w puszczy, po raz pierwszy styka się z grozą wojny. Na jego oczach ginie adiutant Mariani, Korsykańczyk akurat w dniu swego zwolnienia z wojska. Spoglądając na jego zastygłe ciało Christian uświadamia sobie nonsens tej śmierci. Wyraża swoją myśl naiwnie, ale jakże szczerze: „Jak to? Mariani, który czuł, myślał, patrzył, słuchał, miał pragnienia i smutki, momenty odwagi i lęku, przeszłość i przyszłość, przyjaciół i wrogów... I teraz nic? Wielkie zero? Okrągły otwór w pustce i nicości?" Ucieczką od tych refleksji staje się dla niego bezpośrednia walka. Na wysuniętej placówce w głębi puszczy Christian przeżywa gorycz rozczarowania, że powodem utrzymania tej pozycji kosztem wielu istnień ludzkich jest obrona plantacji drzew kauczukowych indochińskiego bogacza. I tak zaczyna się dramat człowieka, któremu powoli zaczyna obsuwać się spod nóg stały grunt przekonania o słuszności swego działania. Sylwetka kapitana Bournazel powoli traci władzę symbolu. Dlaczego chłopcy francuscy mają tracić swoje osiemnaście czy dwadzieścia lat w tej puszczy i walczyć o ziemie, do których Francja nie ma żadnych praw dziejowych, oprócz „prawa" przemocy militarnej? Ale istnieje jeszcze ostatni argument, „ostatni nabój" — przeświadczenie o barbarzyństwie Wietnamczyków, o wyższości humanitarnej Francuzów. I wówczas staje się rzecz najzupełniej przeciwna temu przekonaniu. W przeddzień decydującego ataku wietnamskich oddziałów ludowych złapano wywiadowcę Annamitę. Christian nie zezwala na stosowanie środków przemocy przy przesłuchaniu bezbronnego człowieka, ale w obliczu podoficerów wywierających na nim presję, wobec zbliżającej się bitwy — pozostawia im wolną rękę. To daje hasło do rozpoczęcia kaźni, w której Annamita zostaje zamęczony na śmierć.

Rozdział, w którym Christian wspomina z przyjacielem czasy swego dzieciństwa i czasy szkolne, nosi tytuł „Liście umarłe". Istotnie, w obliczu przerażającej prawdy wszystkie ideały młodości wzięły w łeb. Christian sam jest już zamarły wewnętrznie. Mówi do przyjaciela Jeannot: „Tak zgasł ostatni jasny promień naszej młodości..."

OCZAMI CHRISTIANA

MUSZE wytłumaczyć się, dlaczego wyróżniłem powieść J. P. Chabrol w szeregu innych pozycji współczesnej prozy francuskiej, wyszłych spod piór bardziej nawet doświadczonych pisarzy. Oryginalność „La derniere cartouche" polega na zastosowaniu odmiennej od tamtych metody pisarskiej. Zarówno Pierre Courtade w „La Rivière noire", jak i w pewnym sensie Jules Roy w „La bataille dans la rizière" — pragnęli dać ogólny rzut oka na wojnę wietnamską, stąd cecha „szkicowości", dążenie do zamknięcia całości tematu w zwięzłych portretach i lapidarnych epizodach, luźnie połączonych w całość. We Francji wzorem twórczości tego rodzaju są pacyfistyczne powieści Barbusse'a („Ogień") i Dorgelès'a („Krzyże drewniane"), w których dziesiątki żołnierzy połączonych wspólnym losem przechodzą błyskawicznie przed obiektywem autora. Doskonałym przykładem tej metody jest u nas „Rzeka czerwona" Mirosława Żuławskiego. Na stukilkudziesięciu zaledwie stronach autor zawarł sylwetki szeregu ludzi z obu stron walczących, nie przedstawiając ich dziejów w dłuższym dystansie. Poszczególne twarze zjawiają się w błysku światła i giną w mroku...

J. P. Chabrol postanowił zrealizować trudniejsze zadanie. Zamiast powieści - kalejdoskopu dał jednolitą i konsekwentną opowieść o chłopcu francuskim, o okresie tworzenia przez niego systemu wartości i o tragicznym kryzysie, gdy rzeczywistość rozbiła idealnie utworzony obraz świata. Autor wybrał niewątpliwie drogę niebezpieczną, towarzysząc swemu bohaterowi krok za krokiem i podporządkowując mu cały świat fikcji literackiej. Jakże trudno zachować tu równowagę i nie wyprzedzać go, być mu w każdym momencie „wiernym", dotykać piórem tylko spraw, które on dojrzał, zgodnie z jego ewoluującym się przeżywaniem rzeczywistości — odmieniać barwę otaczającego krajobrazu. Pozwolić, aby konflikty nabrzmiewały zwolna, aby przełom zasadniczy dokonał się naturalnie, bez pomocy rezonerskiego komentarza od-autorskiego. J. P. Chabrol zdał egzamin — jego Christian Bessèges żyje, wzrusza swoim losem i świat odbijający się w jego oczach zwolna ciemnieje od grozy i nabrzmiewa bolesną prawdą.

Powieść ta nie obfituje w obrazy i opisy. Daleko jej do stylistycznego wykwintu Courtade'a. Posiada jednak doskonałe partie, w których nastrój osiąga maksimum natężenia, a plastyka stylu jest doskonała. Do nich należy przede wszystkim rozdział pt. „Noc am-tamów" — mistrzowski przez stopniowe narastanie nastroju grozy i przerażenia owładającego żołnierzami czuwającymi u wrót tajemniczej puszczy.

Pozorne przyjęcie przez autora zwężonego pola widzenia ograniczonego do dziejów jednego tylko człowieka, bynajmniej nie zniekształca właściwych proporcji między zjawiskami, nie niweczy ich wymiarów. Stają się one dzięki temu nam bliższe. Tragedię młodzieży francuskiej walczącej i ginącej bez przekonania za sprawę od dawna już przegraną i oszukiwanej przeżytymi frazesami — odczuwamy znacznie silniej poznając ją za pośrednictwem człowieka, który pozostanie naszym przyjacielem — Christiana Bessèges.

*) „Dziś i Jutro" nr 31 (401).

JAN ŻABIŃSKI

GAWĘDA PRZYRODNICZA

Las czy puszcza

KTÓŻ z nas nie lubi lasu? Chyba nie ma takiego człowieka. — Może powiecie, że to nic dziwnego, bo każdy lubi przyrodę. No — i naturalnie, ale i góry, i stepy, i morze — to też przyroda, a jednak, choć większość ludzi także je lubi, zdarzają się przecież i tacy, co gór się boją, a przestrzenie morza działają na nich przygnębiająco. A za lasem przepadają wszyscy. Nie każdy jednak potrafi powiedzieć dlaczego.

Ja myślę, że dlatego, iż las to przede wszystkim przyroda żywa w jej bodaj największym nasileniu. A życie — bogactwo życia — ma dla nas jakiś nieprzeparty urok.

Tak patrzymy na to my, ludzie dzisiejsi, którzy większość powierzchni ziemi zamieniliśmy już w uprawne pola — wprawdzie pożyteczne „fabryki" środków spożywczych i gospodarczych, ale pozbawione tego uroku, jaki ma naturalna, żywa przyroda lasu.

Fragment Puszczy Białowieskiej... *fot. J. Karpiński*

Nie zawsze jednak był taki stosunek człowieka do puszczy. W dawnych czasach, gdy zajmowała ona całą Europę, kiedy to rzadko rozrzucone osiedla leżały przycupnięte na brzegach polan — człowiek bał się jej mrocznych ostępów.

Wędrował przez nią tylko określonymi szlakami i jedynie najodważniejsi zapuszczali się w jej głąb w poszukiwaniu zwierza, a i to nigdy zbyt daleko. Dla ówczesnego człowieka pierwotny las — to był niebezpieczny, pełen niezbadanych tajemnic, żywioł.

Właściwie w tej chwili postąpiłem wobec Czytelników nieładnie, aczkolwiek prawdopodobnie większość tego nawet nie zauważyła. Porwany zapałem zacząłem mówić o puszczy i o lesie, jakby to było to samo. — A czyż tak nie jest? Puszcza to przecież duży las. — No, a czy nie warto było by uprzytomnić sobie, że ta „dużość", czyli ilość (w danym przypadku — drzew) może mieć bardzo często istotne znaczenie, zmieniające zupełnie jakościowy charakter przedmiotu. Wyśmiano by mnie z pewnością, gdybym w kogoś chciał wmawiać na przykład, że woda w miednicy i Wisła — to właściwie to samo; tyle tylko, że rzeka ma **więcej** wody. Tak też i tu, jak się okazało, między lasem i puszczą są dużo głębsze różnice, niż jedynie różnice wielkości. To, co dzisiaj nazywamy lasem, jest to bezsprzecznie również zbiorowisko drzew — jednak drzew zasadzonych ręką ludzką, puszcza zaś powstawała samorzutnie. A czyż się przez to zmienia coś zasadniczego? — Co najwyżej w lesie, pod opieką człowieka, jest większy porządek, drzewa rosną w różnych odstępach, nie przeszkadzają sobie nawzajem. Są zapewne dorodniejsze aniżeli te, które rosną dziko. — Otóż tak właśnie myśleli ludzie w ciągu ubiegłych stuleci i tylko pod jednym względem nie mogli wyjść ze zdumienia: dlaczego to w praktyce właśnie jest odwrotnie. My, którzy w naszym kraju mamy jeszcze ostatek dawnych pierwotnych lasów europejskich w postaci Puszczy Białowieskiej, możemy to sprawdzić naocznie.

Wędrując po niej, na pozór nic nie widzimy nadzwyczajnego. Drzewa — jak drzewa w każdym lesie. Ale w pewnej chwili przychodzi nam na myśl objąć pień sosny rękami. Ile? — Dwoje, troje, nie! — aż czworo ludzi trzeba, aby móc tego dokonać, a i tak drzewo przez nas wybrane nie było najgrubsze — No, a dęby, które trudno objąć sześciu dorosłym ludziom. A lipy...

Nic dziwnego — powiadamy sobie — drzewa muszą być bardzo stare. — Otóż i to jest fałszywe tłumaczenie. Puszcza Białowieska jest stara, ale drzewa, z małymi wyjątkami, wcale nie są starsze, niż w innych ośrodkach leśnych. I tu dopiero tkwi istota zagadki. Więc w puszczy szybkość — jak mówimy — tempo wzrostu musi widocznie być inne niż w pozostałych częściach naszego kraju. Czyżby to sprawa klimatu? Ależ klimat Białowieży nie różni się znów tak bardzo od klimatu Białegostoku czy Siedlec. No, i co najważniejsze, przecież zarówno tam, jak i w całym zresztą kraju przed wiekami była taka sama puszcza, jak w Białowieży, więc drzewa i na tych terenach potrafiłyby rosnąć tak samo szybko i dorodnie. — Wszystko zatem zaczyna się gmatwać. Niby pieczołowitość i opieka człowieka — a wyniki zdają się być gorsze, niż w lesie, pozostawionym samemu sobie. Ale przecie — jeśli chodzi o rośliny uprawne — to każdy przyzna, że właśnie opieka i pielęgnacja człowieka stworzyły wspaniałe rasy zbóż, których dzicy przodkowie nie dawali ani tak dorodnych ziaren, ani tak bogatych plonów. Tylko że to zupełnie nie dobre porównanie. — Jest bowiem wielka różnica pomiędzy roślinami, których cały żywot trwa parę miesięcy, po czym już wydają one ziarno — same ginąc — a drzewami, które przez kilkanaście lat muszą borykać się z przeciwnościami, aby wydać pierwsze nasiona, a później jeszcze przez dziesiątki lat walczyć z rywalami, aby się im nie dać zagłuszyć. Błąd naszego rozumowania polega na tym, że na puszczę, czy las patrzymy tylko jako na zbiór drzew. A cóż to jest innego? — Toż zawsze — albo sosny, albo brzozy, czy tam świerki. O właśnie — a w dodatku mówiąc tak, ciągle myśli się o tych jednogatunkowych lasach sadzonych i gospodarowanych przez człowieka. A w puszczy jest inaczej; tam zawsze widzimy zmieszane drzewa — tu sosny, lipy i świerki, tam znów przewaga olch — jednak zawsze rozmaitość i... mieszanina. — A jakie podszycie, ile krzewów przeróżnych, gdzie gnieździ się ptactwo. — No, to bardzo pięknie, ale dlaczego ta rozmaitość ma wpływać na lepszy wzrost drzew? Zdawałoby się, że raczej powinno być odwrotnie. Otóż, nawet specjaliści w tej dziedzinie dawniej tak właśnie na to patrzyli. Wyobrażali sobie, że las — to parę tysięcy pojedynczych drzew, z których każde żyje dla siebie i byle miało dość odżywki mineralnej w glebie oraz wilgoci — to już może rosnąć i będzie mu dobrze. Tymczasem — cała puszcza, czy las — to jeden wielki zespół — zespół, w którym wszystkie istoty tam żyjące: drzewa, krzaki, grzyby i mchy, porosty, ptaki, ssaki, dżdżownice, owady, bakterie tworzą mocno powiązaną jedną całość, w której interesy każdej grupy przeplatają się ściśle z interesami innej. Proszę powiedzieć, dlaczego w Ogrodzie Saskim czy na Plantach w Krakowie nie rosną czarne jagody, lub grzyby prawdziwki? Przecież mają tam też glebę zasadniczo taką, jak w lesie. Czy czytaliście Robinsona Kruzoe? Czy wiecie, dlaczego ciężko mu było żyć samemu na wyspie, choć przecież z wyżywieniem nie miał tam zbytnich trudności? Czym się różniło jego życie od naszego w mieście? A tym, że gdy my stłuczemy garnek — kupujemy natychmiast inny, który zrobił jakiś nasz bliższy czy dalszy sąsiad. Chcąc mieć ubranie, idziemy do krawca. Gdy zachorujemy — leczy nas doktor. Robinson żyjąc samotnie musiał to wszystko robić sam, lub w ogóle obywać się bez tego, jeżeli danej rzeczy zrobić nie umiał. Proszę się zastanowić, czy to, co zaraz powiem, nie nasuwa pewnych podobieństw.

W lesie rośnie sobie młoda sosenka, i ot, przysiadła na niej szkodliwa ćma barczatka sosnówka i złożyła jajeczka. — Sosenka „nie wie" o tym, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo, że wkrótce wylęgną się gąsiennice, które objedzą jej igły i spowodują uschnięcie. I tak by zresztą nie mogła nic na to poradzić. — Ale oto nadleciały sikory i szybko ostrymi dzióbkami wyjadają jajka — sosenka będzie uratowana. Skąd się tu jednak wzięły sikory? A wylęgły się w dziupli pobliskiej lipy, która, trzeba przyznać, zacieniała sosenkę utrudniając jej wzrost. Ale znów niedawno tylko jej zwisający konar nie dopuścił, aby sosenkę przygniótł padający świerk, który strzaskała burza. Sosenka rozwijała się swobodnie i szybko, gdyż wielkie ilości pożywienia czerpała z gleby porośniętej grzybnią przyswajającą azot, ta ostatnia dostała się tu przed wielu laty przypadkiem, gdy przybył z dalekich stron czarny bocian i czyścił sobie dziób z błota, w którym było właśnie parę zarodników owej grzybni. Zresztą nie skiełkowałyby one, gdyby nie wilgoć, jaką magazynowały mchy rosnące na dole; one znów nie wyżyłyby w tym miejscu, gdyby nie cień lipy, na który jak pamiętamy, „skarżyła się" nawet nasza sosenka. Niniejszy obrazek to zresztą tylko maleńki fragment tych współzależności i powiązań, które łączą w jedną całość wszystkie istoty żyjące w lesie — ściśle mówiąc, w puszczy.

...t fragment lasu

JAKIEŻ z tego powinniśmy wyprowadzić wnioski? Ano proszę tylko pomyśleć. Spróbuję trochę zaledwie zmienić dopiero co opowiedzianą historię. Oto gniazdo tych sikorek, które obroniły sosenkę, wypatrzył zły chłopak i wybrał jajka ptaszków. Stare sikorki wyniosły się, a w parę miesięcy potem zginęła sosenka. A teraz sami osądźcie: coby to było, gdyby czarny bocian nie doleciał na wspomniane miejsce, gdyż po drodze postrzelił go myśliwy, i oto biedny ptak dogorywa gdzieś na bagnie, w miejscu zaś, gdzie padło właśnie nasionko sosny, nie ma ułatwiającej jej życie grzybni. Widzimy, jak każdy nasz niby to jednostkowy czyn: złamanie gałązki, zniszczenie gniazda, czy coś podobnego — nie tylko jest zły sam przez się, ale jeszcze — jak pierwsze oczko przerwane w swetrze — pociąga za sobą dalsze następstwa. Dziś naukowo się to nazywa, że zakłócamy równowagę w zespole przyrodniczym. Czasem może taki fakt nie pociągnąć poważnych następstw, czasem zaś jest, jak ta pierwsza iskierka, która padnie na stóg siana i podpali go. Później — pożar się szerzy przynosząc nieobliczalne straty. A ten, co iskierkę zaprószył, nawet nie domyśla się, czego sam był przyczyną.

Z tego, co teraz powiedziałem, już dawno wysnuli wnioski nowocześni leśnicy. Obecnie nie wycina się kawałków lasu, aby ten teren potem ze szkółek obsadzić na nowo. Dziś leśnik wie, że choć wprawdzie posadził nowe drzewka, nie odtwarza przy tym jednocześnie innych potrzebnych fragmentów składających się na zespół leśny. Albowiem w niezacienionej, przesuszonej glebie wyginęły grzybnie i rozwinęły się już inne bakterie. Ptaki nie mają się gdzie gnieździć. Nie, z lasem nie można postępować tak jak z polami. Lasu nie wolno „zabić", a potem na tym miejscu próbować sadzić nowy. Ten sam las winien żyć tysiące lat. — Jak to — można by powiedzieć — a skąd będziemy mieli drewno na nasze potrzeby gospodarcze? O tym już pomyślał nowoczesny, znający życie lasu człowiek.

Dziś nie wpuszcza on drwali, aby niby kosząc wycinali jedno drzewo po drugim. O nie, leśnik obchodzi swój rewir pojedynczo i typuje drzewa do wyrębu. Las łatwo zagoi takie drobne ranki. Ten nowy system wyrębu przypomina normalne stosunki w przyrodzie, gdyż przecież i tak największe i najstarsze drzewa zawsze pojedynczo padają ofiarą wichrów czy burz — i w tym miejscu samorzutnie następuje odmładzanie lasu.

Przykładem ostrożnego podpatrywania i badania zespołów przyrodniczych jest nauka radziecka, która podejmuje gigantyczny plan zalesienia milionów hektarów stepu, a zatem — terenów, gdzie lasu nigdy przedtem nie było. Dawniej, gdyby nawet mogła przyjść komuś taka myśl do głowy, prawdopodobnie posadziłby małe drzewka ze szkółek i czekał aż wyrosną. Przekonałby się zresztą po niewczasie, iż cały jego trud poszedł na marne, gdyż słabe roślinki pousychały, lub objadły je szkodniki.

Wykonawcy tej olbrzymiej akcji — po latach uprzednich badań, studiów i obserwacji podeszli do zagadnienia planowo. Prócz drzewek do sadzenia przywożą z dalekich lasów tysiące ton ziemi. Jakiej, po co? Czy ta na miejscu jest gorsza? Nie, nie gorsza, czasem może nawet żyźniejsza, ale nie ma ona jeszcze ani bakterii, ani grzybni potrzebnych do współżycia drzewom, więc trzeba koniecznie zarazić glebę pod każdą nową sadzonkę, jak to w naszym opowiadaniu zrobił przypadkiem czarny bocian. A dalej, przywożą i sadzą gdzieniegdzie od razu duże krzewy, aby już tam ptactwo, ci milicjanci chroniący drzewa przed szkodnikami, miało się gdzie gnieździć. Dokoła kawałków młodziutkiego, świeżo posadzonego lasu wbijają słupy i rozpinają sznury i druty, bo przecież ptactwo leśne nie lubi siadać na ziemi, a wysokich koron drzew jeszcze tu nie ma.

Tak to nowoczesny człowiek postępuje z przyrodą. Nie jest jej katem i niszczycielem, lecz prawdziwym, mądrym opiekunem.

Konkurencja anglo-amerykańska w Ameryce łacińskiej

(Dokończenie ze str. 3)

swoją korzyść. Opierała ona zawsze swe stosunki handlowe z Ameryką łacińską na zasadzie kompensacyjnej wymiany towarowej (eksport przemysłowy za import surowców), podczas gdy Stany Zjednoczone — z wyjątkiem czasów wojny — nie potrzebując surowców rolnych, nie mogły ofiarować Ameryce łacińskiej odpowiedniej kompensaty handlowej za dostarczane jej towary konsumpcyjne. Poza tym USA stosują system handlu w najwyższym stopniu rabunkowy. Wykorzystując swą przewagę finansową narzucają niskie ceny za importowane surowce kopalniane, przy równoczesnym śrubowaniu cen za eksportowane artykuły przemysłowe. Obliczono, że w 1948 r. otrzymane w ten sposób nadzwyczajne zyski eksporterów amerykańskich wynosiły 648 mil. dol. przy eksporcie wynoszącym 3 200 mil. dol.

Tego rodzaju polityka handlowa narzucona państwom Ameryki łacińskiej doprowadziła je szybko do wyczerpania rezerw dolarowych i do deficytu bilansu płatniczego, który w 1952 r. osiągnął już poziom 720 mil. dol. W związku z tym tamtejsze koła gospodarcze wolały nawiązać kontakt handlowy z lepszym kontrahentem. Sytuację tę wykorzystała W. Brytania i w latach 1947-1949 zdołała doprowadzić do poważnego zwiększenia swego eksportu na terenie Ameryki łacińskiej. Eksport ten osiągnął wkrótce poziom przedwojenny. W tym samym czasie eksport Stanów Zjednoczonych do krajów Ameryki łacińskiej spadł z 3 858 mil. dol. w 1947 r. do 2 721 mil. dol. w 1949 r.

Stany Zjednoczone wszczęły od razu energiczną kontrakcję. Wykorzystały one w tym celu m. in. narzucone Wielkiej Brytanii „atlantyckie" zbrojenia, co zmniejszyło zdolność eksportową przemysłu angielskiego. Poza tym wojna w Korei zwiększyła zapotrzebowanie na surowce, co umożliwiło Amerykanom zwiększenie zakupów na rynkach Południowej Ameryki. W tym zresztą czasie Waszyngton narzucił krajom Ameryki łacińskiej szereg umów wojskowych, za których pomocą zapewnił sobie pierwszeństwo w nabywaniu tzw. surowców strategicznych. W r. 1951 Stany Zjednoczone pokryły w Ameryce łacińskiej 66 proc. swego importu miedzi, 83 proc. — cukru itd. O ile w I kwartale 1950 r., a więc przed wojną w Korei, import amerykański z krajów Ameryki łacińskiej wynosił 725 mil. dol., to już w I kwartale 1951 r. wzrósł on do 1 281 mil. dol. Równolegle z tym udział Anglii w obrotach handlowych kontynentu południowo-amerykańskiego spadł z 11.6 proc. w 1949 r. do 7 proc. w 1951 r.

Odbiło się to poważnie na pogorszeniu ogólnej sytuacji gospodarczej Wielkiej Brytanii i na jej bilansie płatniczym. Z kolei Anglicy zaczęli energicznie krzątać się koło zabezpieczenia swego eksportu do Ameryki łacińskiej. Znaleźli oni żywy oddźwięk wśród tamtejszej burżuazji narodowej, która usiłuje przeciwstawiać się zabójczemu dla siebie monopolowi amerykańskiemu. Wynikiem tego było zawarcie na przełomie 1952-1953 r. umów handlowych między Wielką Brytanią a Argentyną i Brazylią. Już w I kwartale 1953 r. import południowo-amerykański ze Stanów Zjednoczonych zmniejszył się dość poważnie, a eksport do USA również nieco zmalał.

*

ANGIELSKIE inwestycje finansowe w krajach Ameryki łacińskiej, które w 1939 r. wynosiły w okrągłych cyfrach 5 miliardów dolarów, zmniejszyły się w 1945 r. do 2.6 miliardów dol. W tym samym czasie inwestycje amerykańskie wzrosły tam z 4 do 6 miliardów dol. W dalszych latach kontrola gospodarki południowo-amerykańskiej przez kapitał Stanów Zjednoczonych zwiększała się coraz bardziej. Rząd waszyngtoński wykorzystał słynny 4 punkt doktryny Trumana o pomocy dla krajów zacofanych pod względem gospodarczym, aby ułatwić penetrację dolara do Ameryki łacińskiej. Popularną metodą stało się tworzenie towarzystw mieszanych pod firmą krajową, w których jednak finansiści z Wall Street mieli decydującą przewagę. Dawało im to możność uzyskiwania ulg podatkowych i różnych innych specjalnych przywilejów, które ułatwiały daleko idące podporządkowanie życia gospodarczego tych państw interesom USA.

Odbyło się to w głównej mierze kosztem konkurencji brytyjskiej. Tak np. przed wojną 60 proc. eksportu Boliwii (w tym 75 proc. stanowiła cyna) szło do Anglii, a do Stanów Zjednoczonych tylko 7 proc. W 1948 r. już 50 proc. eksportu cyny kierowano dla przeróbki w fabrykach Stanów Zjednoczonych, co było konsekwencją przejęcia kopalń cyny przez kapitał amerykański. Przed wojną eksport miedzi z Chile (około 400 tys. ton rocznie) odbierany był prawie całkowicie przez Wielką Brytanię, ale już w 1945 r. kopalnie miedzi stały się własnością głośnego koncernu Anaconda. Od tego czasu miedź zakupywana jest obecnie prawie całkowicie przez Stany Zjednoczone. Udziały angielskie i amerykańskie w przemyśle naftowym Wenezueli były przed wojną mniej więcej wyrównane. Jednakże już w 1946 r. kopalnie produkujące na rzecz kapitału amerykańskiego wydobywały dwa razy więcej aniżeli kopalnie uzależnione od kapitału brytyjskiego.

Kapitały brytyjskie wzmogły bardzo silnie swą penetrację w Wenezueli zwłaszcza po nacjonalizacji Anglo - Iranian Co. w Persji. Banki londyńskie i Royal Dutsch inwestowały tam w przemyśle naftowym (tylko w 1952 r.) 150 mil. dol., budując wiele nowych zakładów i największy w Ameryce naftociąg. Udział Anglii w wydobyciu nafty południowo - amerykańskiej wzrósł z 38 proc. w 1948 r. do 47 proc. w 1952 r. Lecz i na innych odcinkach produkcji strona angielska przejawiała dużą ruchliwość. Tak np. w Brazylii wybudowano wiele fabryk przez znany koncern angielski Vickers (przemysł zbrojeniowy), przez Standard (przemysł samochodowy), przez Dunlop (przemysł kauczukowy) i wiele innych. Na wzór Stanów Zjednoczonych przedsiębiorstwa angielskie zakładają w krajach południowo - amerykańskich różne „mieszane" towarzystwa, a Brytyjski Związek Przemysłowców opracował swój własny wariant „pomocy technicznej" dla Ameryki łacińskiej w celu przeciwstawienia się penetracji amerykańskiej.

*

ZAOSTRZAJĄCA się konkurencja angielsko - amerykańska nie przynosi korzyści Ameryce łacińskiej. Gdy pod naciskiem opinii publicznej rząd Boliwii musiał wydać dekret o nacjonalizacji kopalń cyny, a rząd Guatemali wywłaszczył tereny koncesji amerykańskiej United States Fruit, zwalczający się rywale pogodzili się natychmiast dla wspólnej akcji przeciwko zagrażającemu ich interesom ruchowi narodowo - wyzwoleńczemu. Tak samo wspólnie przeciwstawiają się oni tendencjom kół narodowej burżuazji tych państw, pragnącej nawiązać stosunki handlowe z krajami obozu socjalistycznego. Złudne są nadzieje południowo - amerykańskich kół gospodarczych, że zaostrzająca się walka konkurencyjna anglo - amerykańska otworzy sama przez się możliwości dla wydobycia się spod wyzysku obcego kapitału. Może to dać tylko masowy ruch narodowo - wyzwoleńczy, który by łączył wszystkie postępowe siły tych społeczeństw do walki z jarzmem imperialistycznym.

Michał Nowacki

Na półce księgarskiej

„NARZECZENI" — MANZONIEGO

Wśród wielu ciekawych pozycji paxowskich, które przyniósł nam styczeń, na specjalną uwagę zasługuje dwutomowa powieść Aleksandra Manzoniego pt. „Narzeczeni" *).

Manzoni (ur. w 1785 r.) w Mediolanie, jest najwybitniejszym we Włoszech przedstawicielem szkoły romantycznej.

Program romantyków był łatwiejszy do sformułowania niż do wprowadzenia w życie na terenie literatury włoskiej. Toteż przeważająca liczba poetów i prozaików nowej szkoły zdołała jedynie połowicznie go urzeczywistnić. Manzoni, jako jeden z nielicznych, potrafił jednak z doskonałą swobodą zrealizować ten program w całej rozciągłości. Szeregiem arcydzieł, w których pierwsze miejsce zajmują „Narzeczeni", wprowadził literaturę włoską na zupełnie nowe tory, a cała późniejsza literatura włoska z tej dziedziny — powstała pod pośrednim lub bezpośrednim wpływem jego twórczości.

Utworem, który uczynił Manzoniego sławnym we Włoszech i Europie, była kantata „Piąty Maja", napisana na wieść o zgonie Napoleona I, która zasłużyła na entuzjastyczną pochwałę Goethego i na zaszczyt jego przekładu.

„Narzeczonych" zaczął pisać Manzoni w r. 1821, skończył w r. 1823. Nie był jednak zadowolony z dzieła i zaczął je pisać od nowa, zmieniając tekst, dokonując skreśleń i wstawek. Powieść w nowym układzie ukazała się w r. 1827. Potem nastąpił nowy okres żmudnej pracy nad tekstem i wreszcie, w r. 1840, powieść ukazała się w ostatecznej redakcji. Różnice między tekstem z r. 1827 i 1840 dotyczą prawie wyłącznie języka. Jako rzecznik dialektu florenckiego — Manzoni wykreślił ze swej powieści wszystkie słowa wyraźnie trącące literackim i akademickim szablonem. Wszystkie naleciałości narzecza lombardzkiego, od jakich roiło się wydanie z r. 1827, zastąpił słowami żywej, mówionej gwary florenckiej. Często przy porównywaniu obu wariantów nasuwa się określenie, że jest to praca ucznia poprawiana przez mistrza.

„Narzeczeni" to nie tylko historia dwojga młodych ludzi, którzy poprzez spiętrzone trudności i przeciwności dochodzą wreszcie — niemal na ostatniej kartce — do małżeństwa: jest to wspaniałe studium historyczno obyczajowe siedemnastowiecznych Włoch, studium, w którym poważne miejsce zajmuje realistyczny, wstrząsający obraz znanej klęski, jaką była zaraza w 1630 r.

„Narzeczonych" tłumaczono na wiele języków. W Polsce próbowano przekładu w wieku XIX. Obecne wydanie oparte jest na tłumaczeniu Marii z Siemiradzkich Obrąpalskiej z r. 1886. Przedmowę napisał prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Mieczysław Brahmer.

„Narzeczeni" ukazali się w tradycyjnej zielonej szacie paxowskiej. Wartość graficzną podnoszą ilustracje Józefa Gruszki umieszczone na początku każdego z rozdziałów.

A. R.-B.

*) Aleksandro Manzoni: „Narzeczeni", PAX 1953: tom I s. 275, tom II s. 284. Cena 60 zł.

ELŻBIETA ANNA REISZ

FILM „KOLONIALNY"

NIEMAL truizmem trąci już powtarzanie, że repertuar kin dwudziestolecia dawał fałszywy obraz krajów Azji, Afryki, czy Ameryki Południowej. Rewolucja społeczna, która przeorała prawie cały kontynent Azji nie pozostała bez echa w twórczości filmowej tych narodów. Widzieliśmy filmy wielomilionowych wyzwolonych Chin, słyszeliśmy o rewelacyjnych filmach hinduskich, które głębokim realizmem wzruszały publiczność zachodnich festiwali; wkrótce i my ujrzymy je na naszych ekranach. Zobaczymy także w tym roku filmy meksykańskie ukazujące życie i piękno tego kraju.

Jedynie Afryka pozostanie dla nas albo jako „terra incognita", albo, jak dla starszego pokolenia, terenem przygód Tarzana, wybudowaną w ateliers puszczą, gdzie pod oślepiającym światłem jupiterów, przy dźwiękach tam-tamu pląsają umorusani aktorzy. Ale sytuacja taka nie jest bynajmniej równoznaczna z brakiem filmów produkowanych przez Afrykę, Brytyjską Afrykę Kolonialną, o tej bowiem będzie mowa, jako o kraju, w którym formy imperializmu kolonialnego występują do dziś w najbardziej jaskrawych formach. Po raz pierwszy na lądzie południowo - afrykańskim, Rodezji, filmowcy pojawili się w roku 1934. Dokumentarzysta Gordon Cooper zrealizował film o życiu murzyńskiej osady opodal Bulawayo. W filmie grali tubylcy. Co się z tym filmem stało — nie wiadomo, w każdym razie nie dostał się nigdy do szerokiej eksploatacji. Pierwszym filmem, który zapoznał świat z kontynentem afrykańskim był film angielski zrealizowany przez firmę Gaumont British pt. „Rodezja Afrykańska". Film wychwalał cywilizację angielską, która niosła postęp do kraju dzikusów. Plenery filmu kręcone były w Rodezji, zaś wnętrza w londyńskich ateliers. Producent i dystrybutor zarazem zapewnił filmowi szeroką eksploatację. Od tego czasu po dziś dzień Gaumont British na zlecenie rządu realizuje dalsze, nieliczne zresztą filmy „kolonialne". I tak powstały technikolorowe „Barwne kolonie", „Czy Rodezja jest twoją ojczyzną?", „Shoniwa" „Pitanika", i inne. Filmy te zrealizowane były na terenach afrykańskich, posiadały obsadę złożoną z tubylczych sił, ukazały bogactwo i piękno kraju. Nastawione jednak były one głównie na emigrantów i turystów i stąd te akcenty programowe, jak wiadomo bowiem, Rodezja jest mekką brytyjskiej emigracji.

Nadzór nad produkcją filmową w krajach kolonialnych sprawował Colonial Film Office, który po ostatniej wojnie został zdecentralizowany i przy lokalnych rządach krajów Wspólnoty Brytyjskiej utworzone zostały miejscowe departamenty filmowe. W opiece tych tzw. Government Film Production Unit pozostawały przede wszystkim produkcje przeznaczone na użytek wewnętrzny, które ilościowo przytłaczają filmy przeznaczone dla imigrantów i turystów. Są to w zasadzie filmy instruktażowe masowo rozpowszechniane (przeważnie na 16 mm taśmie) i stanowią doskonałe narzędzie zarówno propagandowe jak i instruktażowe, zwłaszcza w kraju, gdzie przeważająca część mieszkańców utrzymywana jest w analfabetyzmie i słowo drukowane nie ma żadnych szans funkcjonowania. Toteż produkuje się filmy o uprawie roli, o zwalczaniu popularnych chorób czy pasożytów, o oczyszczaniu wody, o budowaniu urządzeń użyteczności publicznej, a wreszcie o „dobrodziejstwach" jakie rządy kolonialne niosą mieszkańcom czarnego lądu. Typowym przykładem jest tu znany film dokumentarny gloryfikujący imperializm pt. „Byliśmy prymitywni".

O wadze, jaką rząd brytyjski przykłada do tych zagadnień, świadczy fakt konferencji, odbytej w 1948 roku w Londynie, obradującej nad zagadnieniami wykorzystania filmów w polityce kolonialnej. Na konferencji tej m. in. wystąpił wybitny dokumentarzysta brytyjski, kierownik sekcji filmowej UNESCO — John Grierson, zalecając stworzenie specjalnych filmowych szkół eksperymentalnych, które wykształciłyby zastęp tubylczych filmowców do pracy nad realizacją tych filmów. Filmy te przeznaczone by były do specjalnych warunków lokalnych, do poziomu cywilizacyjnego mieszkańców, słowem filmy realizowane przez murzyńskich twórców dla Murzynów. Propagowałyby w jak najwłaściwszy sposób higienę, kulturę, technikę, sztukę. Niestety, te szlachetne idee „podstawowego wychowania" umieszczone w programie UNESCO referowanym przez Griersona, w których realizacji film miałby spełniać doniosłą rolę, w praktyce wykorzystywane są do podnoszenia techniki, która przysporzyłaby kolonizatorom zwiększenie dochodów, pomogłaby do utrzymywania ludzi w przeświadczeniu o wyższości białej rasy, w utrzymaniu nad tubylcami widma lęku, które zapewniłoby na jakiś czas spokój rządom nadwątlonego zjednoczonego królestwa. Filmy kolonialne pomagają w utrzymaniu mirażów potęgi brytyjskiej w koloniach, która od lat przestała już istnieć.

Scena z filmu o Afryce Południowej

O „WYSŁANNIKACH TRÓJCY ŚWIĘTEJ" I O „NIEWOLNIKACH NIEWOLNIKÓW"

(Dokończenie ze str. 2)

szykan i przeszkód w pracy misyjnej i społecznej.

Niewątpliwie twórcza aktywność O. Wincentego Lebbe była także aktywnością polityczną. Była ona wyrazem ustawienia się na pozycjach gnębionych i wyzyskiwanych nie tylko po to, aby rozumieć ich życie, być z nimi i cierpieć z nimi, ale i po to także, aby wraz z nimi walczyć z wyzyskiem, niewolą narodową, społeczną niesprawiedliwością.

Życie Filipiny Duchesne i Piotra Klawera było świadomym protestem przeciwko zbrodniom kolonializmu. Franciszek Solano walczył nie tylko z plantatorami o życie poszczególnych „kolorowych" ludzi, ale i z „ideą plantacji". Biskup Las Casas swoim postępowaniem z Indianami budził świadomie wśród nich ducha godności osobistej i oporu przeciwko zatracie. A swoimi pracami „Historia Indian", czy „Krótka relacja o zniszczeniu Indian" i propagandową akcją w Europie podrywał społeczne podstawy hiszpańskiej gospodarki w Ameryce.

Tomasz z Villanueva wyrywa z rąk inkwizycji hiszpańskiej jej ofiary, ale ponadto atakuje podstawowe zasady ideowe motywujące sens jej istnienia. A Bruno z Querfurtu jest i misjonarzem i politykiem, kiedy, w obliczu zatargu polsko - niemieckiego, pisze w liście do cesarza niemieckiego o swoim stosunku do Bolesława Chrobrego: „Jeśli ktoś powie, że tego władcę kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni — to jest to prawda".

Tak zatem taktykę misyjnego apostolstwa, ożywionego duchem świętości, cechuje nie tylko wspólnota losu z ludem poznającym Dobrą Nowinę, wspólne z nim cierpienie i męczeństwo. Taktykę tę cechuje także włączenie się w nurt politycznej i społecznej walki ludów „misyjnych" o ich prawo do życia, po to, by dzieci nie pracowały w fabrykach, by nie było gett, w których konają narody, i statków napełnionych niewolnikami, okrutnego znoju na plantacjach i stosów inkwizycji, by Hiszpanie nie uważali się za absolutnych władców ziemi i ludzi, znajdujących się na zachód od południka przechodzącego przez punkt leżący „o 100 logów od wysp Azorskich i wysp przylądka Zielonego" (hiszpańsko-portugalski układ zawarty w Tordesillas w r. 1494), a Słowiańszczyzna nie była terenem ludobójczych wypraw niemieckiego cesarstwa.

„ZAŚLUBIONY MOCOM TEGO ŚWIATA"

CHESTERTON powiedział kiedyś, że „ludzki Kościół w swej częstej słabości był zbyt zaślubiony mocom tego świata". I te właśnie zaślubiny tkwią u podstaw związanego z kolonializmem misyjnego apostolstwa wielu katolików, tj. owego „ludzkiego Kościoła", o którym mówi Chesterton. Stąd właśnie płynie niekatolickość szeregu akcji misyjnych i stąd także płynie szereg klęsk, jakie Kościół Katolicki ponosi dziś w Chinach i Indiach, w Indochinach, Indonezji i Afryce. Albowiem moce tego świata są śmiertelne. Dziś widzimy wyraźnie: kolonializm ginie, niszczony wielkim nurtem walki narodowowyzwoleńczej. A wraz z nim ginie, służąca kolonializmowi, misja chrześcijańska.

Związek misyjnego apostolstwa chrześcijańskiego z kolonializmem jest jednak nie istotny, ale przypadłościowy; wynika nie z ducha Chrystusowego, ale właśnie z faktu, że tego ducha z apostolatu misyjnego wygnano. I dlatego wolno powiedzieć, że to nie Kościół, Mistyczne Ciało Chrystusa, nieskazitelny i niezmienny, nie może sobie znaleźć miejsca w „kolorowym" świecie, wolnym od kolonialnego wyzysku. Nie ma tam miejsca jedynie dla złych mocy „tego świata", poślubionych „ludzkiemu Kościołowi". Prawdy i świętości potrzebują wszyscy ludzie ziemi, albowiem wszyscy oni pożądają pełnej Miłości i wiecznego szczęścia.

Jeśli tak jest istotnie, nie ma więc dziś jakiejś zasadniczej przeszkody na drodze owocnej działalności misyjnej, pod warunkiem, że będzie ona ożywiana nie pragnieniem mocy i materialnych sukcesów, ale miłością do Boga i człowieka, że będzie ona równoznaczna nie z wysługiwaniem się „mocom tego świata", ale z współuczestnictwem w życiu ludów, poznających Chrystusa oraz w ich walce o wolność i sprawiedliwość.

Jerzy Czapiński

List do Redakcji

Jeszcze o „Jegorze Bułyczowie" i dwóch stylach teatru

W wypowiedziach naszej krytyki poświęconych teatrowi radzieckiemu zabrzmiał od niedawna jakiś nowy, twórczy ton. Podziw zmieszany z onieśmieleniem ustąpił miejsca zaprzyjaźnieniu, zażyłości, za nim przyszła przyjacielska szczerość i cenna, bo wzajemnie bogacąca, sąsiedzka wymiana poglądów. Na fali przypływu tych nowych odcieni w naszej przyjaźni z teatrem radzieckim, wysunąłem na marginesie omówienia znakomitego spektaklu Teatru im. Wachtangowa „Jegor Bułyczow" („Dziś i Jutro" nr 47-1953) pewien ogólniejszy problem, który nurtował mnie od dawna — naszego stosunku do artyzmu teatralnego radzieckiego w ogóle. Właśnie próbę wyjaśnienia tego problemu zaatakował w jednej ze swych „Dwóch polemik", drukowanych w nr 1 „Teatru", Edward Csato. Tonem tej polemiki pt. „O pasji" znany krytyk zaprzeczył tytułowi drugiej („O takcie"), zobaczmy jednak, czy przynajmniej atakował słusznie?

Co twierdziłem naprawdę w mej recenzji? Czy nie podobało mi się arcydzieło Gorkiego u wachtangowców? Bo mogło się i tak zdarzyć, jeśli spotkałem np. i reżysera, i kierownika literackiego teatru, i aktorów, którym przedstawienie raczej się nie podobało. Lecz nie, opinia moja pokrywała się na ogół z entuzjazmem przeważającej większości polskich widzów. Twierdziłem tylko, że warszawski „Jegor Bułyczow" — którego i Csato uznaje za „jedno z ważniejszych wydarzeń artystycznych naszego dziesięciolecia" — przy słabszych (nie: „słabych", jak mylnie przedrukował „Teatr") poza oprawą sceniczną poszczególnych elementach widowiska nie ustępował w ogólnym wrażeniu spektaklowi moskiewskiemu. Wychodząc z tego wrażenia, lecz uzupełniając je wrażeniami z innych wizyt teatralnych radzieckich w Polsce, stwierdziłem rzecz mnie samego zdumiewającą, że „ostateczny efekt artystyczny części tych widowisk nie całkowicie bywał w proporcji do doskonałości użytych dla nich artystycznych środków i nienagannej, niesłychanie wysokiej techniki scenicznej radzieckich gości". Dysproporcję tę usiłowałem wyjaśnić nadmiernie „społeczno - ilustrującym" i najszlachetniej zresztą „dydaktycznym" punktem widzenia zajmowanym w radzieckiej sztuce teatralnej.

Co twierdzi Csato? Wiąże on moje szerzej inspirowane uwagi wyłącznie z moją recenzją moskiewskiego „Jegora Bułyczowa" i załamuje ręce nad tak „zdumiewającym (ale na szczęście odosobnionym) przykładem fałszywego rozumowania" i oceny. Dochodzą jeszcze pomówienia na temat ludzi „nie rozumiejących albo niechętnie usposobionych do naszej walki o odnowienie teatru" i realizm itp. W moim zaś porównaniu warszawskiego i wachtangowskiego spektaklu „Bułyczowa" Csato odwraca punkt widzenia: twierdzi, że właśnie poszczególne elementy były w naszym Teatrze Narodowym równie wartościowe, jak u wachtangowców, natomiast „siła, prawdziwość, konsekwencja i artyzm całości" przedstawienia moskiewskiego o wiele przewyższały nasze.

Narzucają się dwa pytania. 1. Skąd Csato wyciągnął wniosek o moim niechętnym usposobieniu w stosunku do walki o odnowienie teatru i realizm? Chyba nie z tego, co naprawdę piszę o teatrze, również nie z zaatakowanej recenzji z „Jegora Bułyczowa". 2. Czy polemika na temat odcieni wrażeń (dobre — bardzo dobre) może zawsze być owocna? Zwłaszcza gdy porównywane przedstawienia przedziela okres trzech lat i gdy warszawskiego „Jegora" widziałem sam trzykrotnie, natomiast wachtangowskiego tylko raz, i to nie na porannym przedstawieniu, które tak silne wrażenie wywarło na E. Csato i nie tylko na nim jednym.

Csato wysunął argument „pasji". Ja chciałbym przeciwstawić mu inny moment, który odgrywa niewątpliwie dużą rolę w całym tym zagadnieniu. Odsłoniła go wypowiedź reżysera Teatru im. Wachtangowa, Borysa Zachawy i pisze zresztą o tym w tym samym numerze „Teatr" w „Liście z widowni".

Rozróżniając w każdym przedstawieniu po trosze autentyzm, złudzenie i umowność, Zachawa zarzucił polskim artystom zbytnie podkreślanie umowności. Stefan Styś bardzo słusznie uznaje to za sprawę pewnej narodowej odmienności widzenia teatru. Porównajmy rzeczywiście lekką architekturę warszawskiego rokoka z neoklasycyzmem pałaców leningradzkich, a rzuci to pewne światło i na sprawę teatru. Polski typ skirtetymiczny, z jego pędem do zabawy i artyzmu, kłóci się z bardziej surowym i poważnym usposobieniem Rosjan. Stąd my, hołdując może zbytniej umowności gry i artystycznej skrótowości, zarzucimy im niekiedy nadmierny autentyzm i pewną ciężkość, przeładowanie gry i całego spektaklu.

W czym przekonał mnie Csato? W polemice swej dał cenne małe studium o złym i dobrym dydaktyzmie, o nudziarstwie i pasji, studium mówiące na przykładzie wachtangowskiego „Bułyczowa" o tym, jak artyzm prawdziwej, namiętnej sztuki przechodzi w ideowe uogólnienie. Te ogólne uwagi witam z całą satysfakcją, zgadzam się również na słuszne odniesienie ich do niemal całości wachtangowskiego spektaklu „Bułyczowa", zwłaszcza do niezapomnianej kreacji Łukianowa. Natomiast w stosunku do niejednego z widzianych w ciągu ostatnich lat przedstawień radzieckich, podobnie zresztą jak i polskich, muszę uznać, że pozostają one nadal uwagami natury raczej programowej, postulatywnej.

Andrzej Odnowa

Prasa niemiecka donosi:

NIEMAŁĄ i niemiłą niespodziankę sprawił rządowi w Bonn Najwyższy Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe swym orzeczeniem wydanym tuż przed rozpoczęciem się obrad konferencji berlińskiej. Prasa reakcyjna zachodnio-niemiecka pieni się i wije z bezsilnej wściekłości, bardziej zaś umiarkowane pisma bońskie wypowiadają się cierpko o tym wyroku. A wszystko zaczęło się od tego, że grupa byłych urzędników Trzeciej Rzeszy — w tym 22 profesorów uniwersytetu i docentów — wystąpiła ze skargą o przyznanie im emerytur. Trybunał w Karlsruhe oddalił wszystkie te skargi — i to mniej by nas interesowało — ale jednocześnie w uzasadnieniu orzeczenia, liczącym ni mniej ni więcej, jak 140 stron, dał historyczną, polityczną i prawną analizę charakteru i istoty państwa hitlerowskiego, klęski w 1945 roku i ponadto... jej skutków. Z orzeczenia tego wynika niedwuznacznie, — acz nie zostało to wypowiedziane expressis verbis (co niektóre pisma, jak „Frankfurter Hefte" mają mu za złe), iż po pierwsze: państwo niemieckie przestało zarówno de facto, jak i de iure istnieć w dniu 8 maja 1945 roku, po drugie zaś — i to wywołało taką burzę — obecny twór państwowy zwany Niemiecką Republiką Związkową nie jest spadkobiercą prawnym Rzeszy Niemieckiej, a więc nie jest suwerennym tworem państwowym. Takie orzeczenie w obliczu berlińskiej konferencji! Uznanie, że wraz z całkowitym zniknięciem hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy przestało istnieć państwo niemieckie, a Niemiecka Republika Związkowa jest zupełnie nowym tworem państwowym!

Toteż hamburski reakcyjny tygodnik **„Die Zeit"** w numerze 1 z 7.1 br. w artykule zatytułowanym „Dziesięciu sędziów koryguje historię Niemiec" pyta: „Czyż coś podobnego (tj. orzeczenie Trybunału — przyp. mój) ma stać się źródłem prawa dla sądów niemieckich, mimo iż nie byliśmy na pewno uczestnikami tych dokumentów zmierzających do zniszczenia Niemiec (tj. decyzji władz okupacyjnych), lecz tylko ich... ofiarami?" I dalej: „Zapytają nas, jakim prawem rząd związkowy troszczy się o linię Odry — Nysy, jeśli Związek nie jest prawnym następcą Rzeszy, lecz tworem nowozałożonym? Albo: dlaczego właściwie Republika Związkowa interesuje się obszarem Saary?" Artykuł kończy się uwagą, że w świetle takiego orzeczenia najwyższej instancji sądowej Niemiec zachodnich „młodzi spośród nas, którzy wkrótce znowu zaludnić mają koszary, zapytają, komu właściwie winni są lojalność, jeśli urodzili się członkami narodu, którego państwo istnieje, to znowu znika, a którego identyczność negują sądy wtedy, gdy znowu pojawia się ono na widowni?!"

Tygodnik SPD **„Die Gegenwart"** w nr 2 z 16 stycznia br. i 3 z 30 stycznia br. zajął w tej sprawie znacznie spokojniejsze stanowisko, próbując nawet bronić merytorycznej strony wyroku. Autor (Michael Freund) dochodzi do wniosku, że z punktu widzenia prawnego teza o dalszym istnieniu państwa niemieckiego raczej nie da się utrzymać, natomiast biorąc zagadnienie od strony narodu niemieckiego i jego dziejów, byłby skłonny doszukiwać się powiązań w sensie ciągłości między Republiką Weimarską a obecnymi Niemcami. W r. 1933 i następnych „serce Niemiec biło ledwie dosłyszalnie, ale jednak biło, a Niemcy ciągle istniały. Bowiem nie można przywrócić do życia tego, co raz już umarło... Nie powinniśmy być tak skorzy do uśmiercania tego, co niegdyś w naszej przeszłości żyło..."

W istocie zaś za tą wzniosłą frazeologią kryją się dwie myśli autora:

1) nie należy przyjmować — z żadnego punktu widzenia — że stworzona w 1871 r. przez Bismarcka Rzesza Niemiecka kiedykolwiek przestała istnieć, to bowiem mogło by za sobą pociągnąć konieczność wyrzeczenia się takich „zdobyczy" narodu niemieckiego, jak junkiersko-militarystyczne Prusy oraz kolonizacja niemiecka na Wschodzie,

2) należy szukać uzasadnienia prawnego i politycznego, aby „przeskoczyć" w jakiś sposób przez lata panowania hitlerowskiego, a nawiązać do Rzeszy sprzed 1933 roku, zakładając, że gdzieś w podziemiu hitlerowskiej Rzeszy kołatały się wątłe choćby resztki prawdziwej dawnej Rzeszy Niemieckiej.

„Frankfurter Hefte" nr 2 z lutego br. omówiwszy szczegółowo sprawę i wyraziwszy żal, że Trybunał wydał jedynie orzeczenie, a nie wyrok rozstrzygający jednoznacznie czy Republika Związkowa jest następcą prawnym Rzeszy Niemieckiej i identyczna z nią, stwierdzą, iż „wśród polityków i prawników przeważa pogląd, że Rzesza Niemiecka mimo bezwarunkowej kapitulacji nie przestała istnieć i żyje dalej w Republice Związkowej..." Kończąc jednak artykuł, pismo stwierdza: „Żyjemy zatem w państwie zdążającym do właściwego nowego państwa, którym mogą być jedynie zjednoczone na nowo Niemcy w zjednoczonej — miejmy nadzieję — Europie".

W czasie, gdy rewizjoniści i neofaszyści próbują odbudowywać bismarckowską Rzeszę, albo i „święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego" — w Niemieckiej Republice Demokratycznej trwa systematyczna praca i wre walka o stworzenie nowej kultury niemieckiej, kultury narodu demokratycznego i miłującego pokój. Znana już inicjatywa rządu NRD, aby „stworzyć warunki konieczne do rozpowszechniania na całym terytorium Niemiec wszystkich czasopism niemieckich, książek, filmów i innych utworów artystycznych z jednym tylko ograniczeniem: nie dopuszczenia do swobodnego wytwarzania i rozpowszechniania dzieł przedstawiających wojnę jako nieuniknioną konieczność i podjudzających nienawiść ku innym narodom" — podjęta została z radością przez Związek Kulturalny Odrodzenia Niemiec w duchu demokracji, który — jak donosi miesięcznik **„Aufbau"** (nr 12/53) — powziął uchwałę apelującą „aby propozycje rządu NRD uczynić przedmiotem ogólnoniemieckich rozpraw, zapoznać z nimi całą opinię publiczną Niemiec, a w szczególności ludzi pracujących twórczo na polu umysłowym... oraz, aby słowem i pismem pracować nad utworzeniem takiego (ogólnoniemieckiego) gremium najwybitniejszych pisarzy, wydawców, naukowców i artystów".

W ślad za propozycją rządu NRD poszło utworzenie u progu roku 1954 w NRD Ministerstwa Kultury, na czele którego stanął znany pisarz Johannes Becher. Jak donosi dziennik **„Neue Zeit"** (nr 7/54) premier Grotewohl przemawiając na inauguracji pracy nowego ministerstwa, powiedział m. in.: „Jesteśmy zdania, że polityka kulturalna kraju zależy od jego ustroju. Polityka kulturalna nie jest czymś oderwanym, istniejącym w pustej przestrzeni — jest ona pięknym wyrazem życia narodu... „Pierwszą zasadą, od której rząd nasz nie odstąpi — jest zwalczać i tępić wszystko co służy wojnie i zniszczeniu, co prowadzi do zdziczenia naszej młodzieży; odnosi się to również do amerykańskiej „kultury", która usiłuje do nas przeniknąć przez Berlin zachodni. Z tego wynika punkt drugi naszej polityki kulturalnej: służyć człowiekowi i pokojowi, tworzyć podstawy utrzymania pokoju drogą współdziałania w osiągnięciu porozumienia najpierw między samymi Niemcami, a następnie między narodami...

Zadania stojące przed nowym ministerstwem podzielił premier Grotewohl następująco:

Troska o ścisłą współpracę z artystycznymi związkami fachowymi i o ideologiczny poziom twórczości,

Podniesienie filmu niemieckiego na wysoki poziom.

Praca kulturalna wśród mas w dziedzinie muzyki, tańca, malarstwa i plastyki.

Stworzenie warunków rozwoju dla narybku artystycznego.

Opieka nad nawiązywaniem stosunków kulturalnych między Niemcami.

„Powołanie do życia ministerstwa — mówił premier Grotewohl — w chwili obecnej, przed konferencją berlińską, ma wykazać, że całość kultury niemieckiej jest nienaruszalnym dobrem wszystkich Niemców".

Minister nowego resortu, Johannes Becher, przemawiając po premierze Grotewohlu, oświadczył (cyt. za **Berliner Zeitung** nr 6/54) m. in.: „Ministerstwo nie może sobie życzyć lepszych rezultatów swej pracy jak ten, by działacze kulturalni uznali je za swoje ministerstwo, by mówili o nim „nasze ministerstwo"... Jest to ministerstwo otwartych drzwi, o którym każdy działacz kulturalny będzie wiedział, że reprezentuje ono dobrą sprawę i w którym znajdzie radę i poparcie..."

Utworzenie Ministerstwa Kultury w NRD jest jedynie ukoronowaniem i wzmocnieniem dotychczasowej walki demokratycznych Niemiec o nową kulturę. **„Berliner Zeitung"** (nr 274/53) w artykule „Ruch wydawniczy a nowy kurs" przyniósł dane dot. ilości pozycji wydawniczych, jakie ukazały się w ciągu roku 1953 w NRD. Są to liczby pokaźne. W ciągu tego tylko roku wydano 6.500 książek w łącznym nakładzie około 73,5 miliona egzemplarzy. Podczas samych tylko Targów Lipskich obroty wraz z zawartymi kontraktami (na przeszło 20 milionów marek) wykazały wzrost o 115 proc. w stosunku do roku ubiegłego. Nas zainteresuje w tych danych także informacja, iż plan wydawnictw teologicznych wykonany został w ponad 180 proc., a więc iż wykazuje on wzrost dwukrotny.

Jakże inaczej sprawy te wyglądają w Niemczech zachodnich **„Neues Deutschland"** nr 5/54 w artykule pt. „Książka dla młodzieży w Niemczech zachodnich" wylicza długą listę rewizjonistycznych wydawnictw autorów takich, jak Ettinghofer, Beumelburg, Dwinger, Blunck, Kolbenheier, Jelisich — pismaków ze znanych „Blut und Boden Verlagów". Pełno jest pamiętników, jak Gallanda, Schachta, Schiracha — które mają nakłady znacznie wyższe, aniżeli nakłady książek Goethego czy Schillera, nie mówiąc już o Lessingu czy Heinem. Godne towarzystwo dla tych — pożal się Boże — autorów, stanowi reprezentacyjna „literatura" amerykańska, „comicsy" w rodzaju książek osławionego Mickey'a Spillane'a jak, na przykład, „Mój rewolwer tkwi lekko", „Zemsta jest moja" itp. Powieści tej znakomitości amerykańskiej reklamowane są również po „amerykańsku": „Mickey Spillane... bardziej zahartowany, niż cała legia cudzoziemska, jest rozprzestrzeniającym się (?) fenomenem, którego powieści seksualne i sadystyczne, o bestialstwach i niedołęstwie, detektywach i dziewczętach lekkich obyczajów wzrosły obecnie w nakładach do 23 milionów egzemplarzy..." Skutek? Oczywisty: **„Münchener Kurier"** stwierdza, iż przestępczość wśród młodzieży Niemiec zachodnich wzrosła ostatnio o 80—90 proc., a **„Kölnische Rundschau"** informuje o 16.000 młodocianych alkoholików w państwie bońskim. Od 1948 do 1952 roku liczba przestępstw na tle seksualnym popełnionych przez młodocianych wzrosła o 162 proc.!

„Neues Deutschland" przytacza wysiłki postępowych wydawców Niemiec zachodnich, by młodzież zachodnio-niemiecka mogła obok tego śmiecia otrzymywać także dobrą literaturę, przy czym, warunkiem powodzenia w ogóle, jest uwzględnianie tematyki przygód kształcących i wychowujących. Książki te muszą być tanie, choć nie zawsze jest to możliwe, by wytrzymały one konkurencję z darmowymi niemal szmirami amerykańskimi. Do wydawnictw postępowych walczących o duszę młodzieży niemieckiej należy m. in. wydawnictwo Adolfa Sponholza w Hannowerze wydające serię broszur pod wymownym tytułem „Contra", dalej Bertelsmann-Verlag w Gütersloh, wydające zeszyty „emocjonujących opowiadań" (Spannende Geschichte), Thienemanns-Verlag w Stuttgarcie i in. Pismo stwierdza:

„Panu Kellerowi i jego kolegom zachodnio-niemieckim trzeba umożliwić porozumienie z wydawcami z NRD, aby piękne przewodniki przyrodnicze „Kosmos", bogate i pieczołowicie wydawane dzieła o krajach — narodach — czasach „Neue Universum" — mogły być czytane przez ludzi w NRD i odwrotnie, by „Żelazny bawołek" i „Błękitny ptak" mogły znaleźć się również w sprzedaży w księgarni Juliusa Weisa w Stuttgarcie".

„Neue Zeit" nr 302/53 w artykule „3,5 milionów marek na odbudowę kościołów" przynosi garść informacji o rozmiarach finansowania przez rząd NRD inwestycji na odbudowę kościołów zniszczonych podczas drugiej wojny światowej. O rozmiarach tych zniszczeń świadczy choćby przykład okręgu berlińsko-brandenburskiego, w którym na 1.400 kościołów całkowitemu zniszczeniu uległy 62 świątynie, a tylko 235 ocalało bez uszkodzenia. Otóż prócz podanej w tytule artykułu kwoty 3,5 miliona marek wydatkowanych przez rząd NRD w latach 1950 — 1953 na odbudowę kościołów, poważne kwoty na ten cel łożyły także rządy byłych krajów (Landesregierungen) przed utworzeniem NRD, a wicepremier Otto Nuschke wydatkował z funduszu dyspozycyjnego 900.000 marek. Odbudowano liczne świątynie, wiele z nich poddano renowacji i oddano ponownie do użytku. Cyfry te i fakty mają swoją wymowę. (em)

Redaguje zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5. Zam. 320 5-B-150018

JERZY OLKIEWICZ

RIVERA, OROZCO, SIQUEIROS

(Społeczne malarstwo Meksyku)

Diego Rivera — fragment fresku — Zapata — przywódca ruchu agrarnego

„Sztuka jest propagandą albo przestaje być sztuką". Meksykański malarz Diego Rivera tak odpowiedział na pytanie „Jaki jest cel sztuki?" Przesadnie ostra i umyślnie przejaskrawiona definicja spadła na krąg zebranych smakoszów, jak bomba zamachowca, niszcząca rytuał ich świętego chramu. Było to w okresie rosnącego zadowolenia z siebie, gdy misterium nowoczesnej sztuki celebrowane przez młodych, utalentowanych i chytrych kapłanów bujnie zakwitło pośród uprzywilejowanych warstw społecznych. Umiejętność posługiwania się kabalistyczną gwarą nowoczesnej estetyki uznano za znak rozpoznawczy dobrego tonu i wyrafinowanego smaku. Wtedy pojawiła się czarna chmurka na pogodnym widnokręgu. Korpulentny, kudłaty Meksykanin malując freski i publikując swe wypowiedzi, dobitnie i hałaśliwie wyjawił kuchenne sekrety modnych duchowych pokarmów. Tajemnicze misterium okazało się zręczną grą złudzeń, a podniebne emocje i subtelne wzruszenia — kultem nieistniejącego bóstwa. Rivera bez zbytnich ceregieli wyciągnął malarstwo z wierzchołka wieży z kości słoniowej na ulicę, z klasztoru pracowni — na platformę społecznych potrzeb. Zaszokował celebrantów nowoczesnej sztuki i ich pacjentów oświadczeniem redukującym kult czystej plastyki do burżuazyjnej afektacji. Nie mogło być nic boleśniejszego dla estetyzujących snobów. Ucieczka na spokojne wody bajorka ich sztuki wynagradzała im społeczny niepokój. Modernizm wydawał się nadzieją wyzwolenia z pospolitości i ordynarności burżuazyjnego społeczeństwa. Z konieczności byli zmuszeni do wegetacji w środowisku nie bardzo godnym pozazdroszczenia. Sztuka ich pozwalała uciec od rzeczywistości. Narkotyzując się nową estetyką, zapominali, że są burżujami tuczącymi się na krzywdzie robotników. Sztuka obiecywała piękna grę głębokich myśli i wzruszeń, nie podległych presji otoczenia i oddalonych od subtelnych i wulgarnych faktów realnego życia. Rivera nazwał tę ucieczkę w przestworza punktem kulminacyjnym przerafinowanego, egoistycznego, bezideowego życia burżuazji.

Rivera nie był jedynym meksykańskim malarzem wciągającym swą sztukę w służbę konkretnych idei w walce o postęp społeczny. Jednym z następstw rewolucji socjalnej z 1910 r., był szybki rozwój rodzimej, meksykańskiej sztuki, popierany przez nowe władze państwowe. Młodzi malarze, rzeźbiarze i graficy już w ciągu paru lat wytworzyli odrębną charakterem i specyficznie narodową plastykę. Agitacja zamiast bożka estetyki, postępowy charakter, troska o zrozumienie wśród mas, rewolucyjna treść — to cechy kontrastujące z modnym ideałem czystej, czternastokaratowej sztuki. Meksyk wytworzył świetną i ostrą grafikę i pierwsze godne uwagi współczesne malarstwo ścienne, ukazując wspaniałe możliwości tej monumentalnej gałęzi plastyki we współczesnym społeczeństwie. Ogromne możliwości agitacyjne i społeczny, masowy charakter zadecydowały o jej odrodzeniu. Najwybitniejsi malarze ścienni Meksyku to Diego Rivera, Dawid Siqueiros i Jose Clemente Orozco.

Rivera (ur. 1886) pochodzi z rodziny o demokratycznych tradycjach. Ojciec jego, walczący o ziemię dla meksykańskich Indian, jest założycielem pierwszej w tym kraju szkoły wiejskiej. Młody Diego kończy Akademię w Meksyku, otrzymawszy staranne klasyczne wykształcenie malarskie (profesorem jego był uczeń Ingresa) i wyjeżdża do Europy. Przebywa kilka lat w Paryżu, zainteresowany nowymi kierunkami plastycznymi, zwłaszcza kubizmem. Oryginalny, zdolny, chłonny zachwyca się Cezanne'm i Picassem i maluje pod ich wpływem. Z Picassem przyjaźni się, zapoznaje się z nowym europejskim malarstwem, biorąc czynny udział w pracowni i przy stoliku kawiarnianym w jego kształtowaniu. Jest wybitnym przedstawicielem „szkoły paryskiej". Szuka jednak odrębnego indywidualnego wyrazu, interesuje się hiszpańską tradycją, studiuje El Greca. W r. 1920 otrzymuje propozycję powrotu do Meksyku. Ówczesny minister oświaty Jose Vasconcelos ściąga do kraju przebywających na obczyźnie malarzy. Chce ich zatrudnić przy dekoracji gmachów publicznych, dając wielkie możliwości twórczej pracy. Rivera postanawia wrócić. Przed powrotem, świadom czekających go zadań, pragnie poznać technikę fresku w jego najdoskonalszych historycznych przykładach. Odwiedza Włochy. Wyjazd do Włoch, to najważniejszy moment jego kariery malarskiej. Widzi tu prostą, przejrzystą, monumentalną sztukę, zrozumiałą dla wszystkich. Pod jej wpływem zmienia swój styl i upraszcza go. Studiuje bizantyjskie mozaiki, Giotta, Ucella, Tintoretta. Buntuje się przeciw bezideowej współczesnej sztuce. W r. 1921 wraca do kraju i walczy o malarstwo tematyczne, którego treścią będą problemy społeczne i ekonomiczne współczesnego Meksyku. Jest inicjatorem postępowego Syndykatu Malarzy, wzbudza zainteresowanie dla malarstwa ściennego. Wykonuje w ministerstwie oświaty freski, których charakter ujawnia wpływy malarstwa włoskiego renesansu, ale pokazuje już pewne oryginalne, meksykańskie cechy. Tematem fresków jest program reform inicjatora rewolucji z 1910 roku — Zapata. Malarstwo Rivery wywołuje protesty ze strony reakcyjnej części społeczeństwa i budzi zainteresowanie ludu. Ludzie, którzy w większości znali go jedynie poprzez oglądane freski, obierają go kandydatem na prezydenta z ramienia partii komunistycznej. W 1927 r. kończy freski o aktualnej politycznej tematyce w gmachu ministerstwa i w szkole rolniczej. Zwalczany przez prasę, musi pokonywać ogromne trudności aby zakończyć swą pracę. Maluje dosłownie pod uzbrojoną eskortą, a reakcyjna młodzież próbuje zdrapywać jego freski. Swoim malarstwem służy klasie robotniczej. Przyjmuje zaproszenie na roczny pobyt w Moskwie w związku z X-leciem ZSRR. Każdy rok dla Rivery to krok naprzód w walce z ekskluzywnością sztuki. W ogromnie trudnych, niesprzyjających tego rodzaju pracy warunkach, maluje prosto i zrozumiale dla wszystkich. Tematyka malarska — historia rewolucji, historia podboju Meksyku, sprawia, że niepiśmienni chłopi i robotnicy żyjący w prymitywnych warunkach pielgrzymują, by zobaczyć jego freski. Budzi zainteresowanie za granicą. W Detroit wybucha skandal, gdy Rivera maluje w tamtejszym Instytucie Sztuki panoramę fresków z pewnością nie schlebiających ani ustrojowi kapitalistycznemu, ani subtelnemu smakowi wrażliwych estetów. W Rockefeller Center w Nowym Jorku nie pozwalają mu skończyć zaczętego malowidła, prześladują go szykanami. Rivera nie odstępuje od swych zasad. W kalejdoskopowych freskach, monumentalnych, symbolicznych, zapełnionych tłumem postaci, wyszydza kapitalizm i walczy o społeczny postęp.

Dawid Siqueiros, inicjator buntów studenckich przeciw mityczno - eklektycznemu malarstwu, jakiego uczono w Akademii w Meksyku podczas jego studiów, to malarz władający równie dobrze karabinem jak pędzlem. Uczestnik meksykańskiej rewolucji, waleczny i zasłużony kapitan, próbował nawet w zawodzie malarskim używać rewolweru zamiast węgla i według podania wystrzeliwał na ścianie kontur malowanych postaci zamiast go rysować. Pełen temperamentu, dynamiczny, zdobywał wiedzę malarską w Paryżu, będąc tam wysłany jako attache wojskowy. Po powrocie do Meksyku wiecznie uwikłany w prasowe polemiki i dyskusje w walce o społeczne malarstwo, nie miał tylu możliwości wykonywania fresków, co Rivera. Jest zato propagatorem i czynnym wyznawcą postępowych ideałów, biorąc udział w wojnie domowej w Hiszpanii jako pułkownik w dywizji generała Waltera. Jego malarstwo symboliczne, jak wszystkie meksykańskie freski, odznacza się większą dynamiką niż malarstwo Rivery. Potężne w wyrazie, pełne impetu, walczy o te same ideały. Wykonany przez Siqueirosa przed paroma laty fresk w Chile, przedstawiający południowo - amerykańskich przywódców rewolucji słusznie zdobył dla sali, w której się znajduje, nazwę „sali gigantów".

Orozco (ur. w 1883 r.), jeden z pionierów narodowej w charakterze sztuki Meksyku, już w pierwszych swoich wystawach wykazał dążność do odsunięcia się od wpływów zagranicznego, modnego malarstwa. Jego prace były publicznym protestem przeciw modnej impresjonistycznej pirotechnice. Na rozwoju jego tak jak na rozwoju Rivery zaważyła twórczość pioniera rewolucyjnej grafiki — Jose Guadalupe Posada, pierwszego wyraziciela reformatorskich społecznych tendencji w twórczości Meksyku. Orozco nie opuszczał swego rodzinnego kraju. Oddany sprawie postępu pracuje jako rysownik w lewicowym piśmie. Później wraz z Riverą, Siqueirosem i grupą innych malarzy zakłada postępowy Syndykat i bierze udział w dekoracji gmachów publicznych dzięki pomocy ówczesnego ministra oświaty — Vasconcolosa. Freski w Escuela National Preparatoria i Szkole Przemysłowej to pierwsze prace Orozca (1922 — 27). Oznaczały one dla Meksyku przy całym ówczesnym rozkwicie ściennego malarstwa, zatrudniającego wielu plastyków,radykalną zmianę. Przełamały rutynę ówczesnej sztuki. Zlikwidowały przesądy i ukazały w nowy, twórczy sposób społeczną problematykę. Zakończyły epokę cyganerii, gnuśnego pacykarstwa, brudnych, malowniczych, wiecznie zapijaczonych malarzy z gitarami w rękach, wyznających absurdalny idealizm — żebraków w rozkładającym się społeczeństwie. „Nowi malarze i rzeźbiarze — pisze Orozco w pamiętnikach — to ludzie czynu, silni, zdrowi i wykształceni, gotowi pracować jak dobrzy robotnicy po osiem czy dziesięć godzin dziennie. Uczyli się w warsztatach, szkołach i uniwersytetach pragnąc wszystko poznać i zrozumieć, aby jak naprędzej móc dać swój wkład w budowę nowego świata. Ubrani w drelichy, wspinali się po rusztowaniach". Hasłem była sztuka w służbie robotników. Freski Orozca początkowo posiadające jak malarstwo Rivery pewien włoski charakter, nie zyskały rozgłosu tamtych. Brakowało im zręczności i błyskotliwości Rivery. Jednak z biegiem czasu Orozco rozwija swój na wskroś indywidualny i najbardziej może oryginalny w Meksyku styl. Jego freski właśnie przez to, że obca mu była wszelka łatwość malowania, osiągają niespotykane dotychczas napięcie emocjonalne, siłę wyrazu i powagę. To on wniósł we współczesne malarstwo dramat, potężny surowy wyraz i krzyk rozpaczy cierpiącej ludzkości — obcy malarstwu ściennemu od wielu stuleci. Aktualne, społeczne zagadnienia, okrutna walka, bestialstwo, rozlew krwi w czasie rewolucji, cała tragiczna problematyka współczesnego Meksyku natchnęła go do potężnego, groźnego, pełnego wigoru i rozmachu, specyficznie meksykańskiego malarstwa. Orozco czuje i maluje w klimacie swojego kraju: charakter postaci i symboli na freskach, kaktus, indiańska piramida, ostry kontrast światła i cienia, twarze przedstawianych ludzi, są na wskroś i prawdziwie meksykańskie. Freski w uniwersytecie, w Palacio de Gobierno w Guadalajara (1936 — 39) i w Sądzie Najwyższym (1940 — 41) krystalizują styl malarstwa Orozco. Nigdy nie miało ono kubistycznych, architektonicznych naleciałości. Orozco sprostował kiedyś uwagę, że jego freski są doskonałym uzupełnieniem architektury. „Nie uzupełnieniem" — zaprotestował — „moje malarstwo nigdy nie uzupełniało budynku, nigdy nie zdobiło. Jest tak integralną częścią budowli, jak głowa częścią ludzkiego ciała". Pracując ponad siły, realizując równocześnie cztery projekty, po zakończeniu wspaniałych, rewolucyjnych fresków w Guadalajara, Orozco zmarł nagle we wrześniu 1949 r.

Ci trzej malarze, najbardziej znani pośród wielu mniej wybitnych, reprezentują ciekawe i świeże w swej koncepcji malarstwo, wyrażające społeczne treści i pełne siły wyrazu. W oparciu o narodowy charakter i tradycję powstała sztuka, godna uwagi przez swą rewolucyjną treść i odrodzony z zapomnienia monumentalny środek wyrazu, walczący o wolność dla Meksyku.

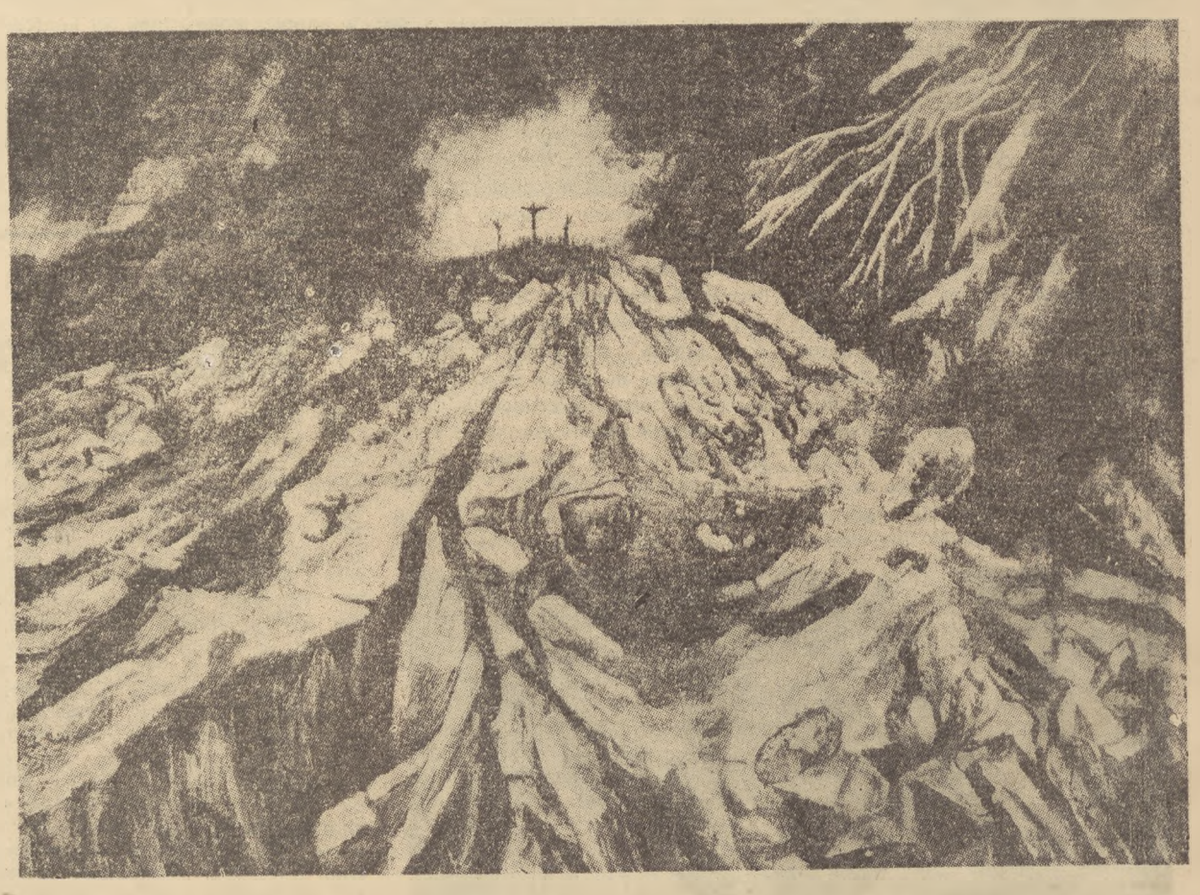

Jose Clemente Orozco — Golgota

Orozco — fragment fresku w Esuela National Preparatoria — „Walka"

KILKA SŁÓW

o plastyce

ODBUDOWA KATEDRY W ROUEN

Stara katedra w Rouen, matka kościołów normandzkich, zniszczona w czasie drugiej wojny światowej — jest obecnie odbudowywana. Rekonstrukcją kierują doskonali architekci, profesorowie Szkoły Sztuk Pięknych. Prace przy odbudowie postępują jednak bardzo wolno z powodu braku funduszy. Rząd nie daje na ten cel żadnych dotacji, składki zaś wiernych nie mogą wystarczyć na pokrycie tak znacznych wydatków. Tak więc, w najlepszym razie, dopiero za dwa lata katolicy francuscy będą mogli cieszyć się odbudowaną katedrą w Rouen, tak jak po pierwszej wojnie światowej cieszyli się z odbudowanej katedry w Reims.

O WYCHOWANIU PLASTYCZNYM

W n-rze 5 „Przeglądu Kulturalnego" Zenobiusz Strzelecki w artykule pt. „O likwidację analfabetyzmu plastycznego" nawołuje do zwrócenia baczniejszej uwagi na poziom wychowania plastycznego, jakie szkoła średnia wpaja w naszą młodzież. Autor artykułu słusznie twierdzi, że właśnie w szkole musi ukształtować się dobry smak artystyczny człowieka, którego później nie będzie zadowalała tandeta mebli, brzydota obrazów, czy prostactwo wnętrza mieszkalnego.

MADONNA Z BRUGES PRZYJECHAŁA DO RZYMU

Jedna z najlepszych, obok „Piety", młodzieńczych rzeźb Michała Anioła: „Madonna z kościoła w Bruges" została na przeciąg jednego miesiąca przewieziona i wystawiona w galerii pałacu Barberini w Rzymie. Dzięki uprzejmości władz belgijskich dzieło wielkiego Włocha ujrzało swoją stolicę. Pokaz wczesnej, lecz niemniej wspaniałej rzeźby Michała Anioła, wzbudził wielkie zainteresowanie ludności i artystów całych Włoch.

RENATO GUTTUSO W PRADZE

W Pradze otwarto wielką wystawę płócien Renato Guttuso, jednego z najwybitniejszych malarzy Włoch współczesnych. Publiczność polska zna rysunki Renato Guttuso, ilustrujące powieść Juliana Stryjkowskiego „Bieg do Fragala", za które artysta otrzymał polską Nagrodę Państwową. Wśród dzieł zgromadzonych w Pradze wielkie wrażenie wywołują pełne ekspresji obrazy, jak „Hołd Grekom" czy „Masakra 1 maja w Portella".

o teatrze

JUBILEUSZ 60-LECIA PRACY ARTYSTYCZNEJ A. ZELWEROWICZA

Aleksander Zelwerowicz obchodził w bieżącym miesiącu jubileusz 60-lecia swej pracy artystycznej i 36-lecia pracy pedagogicznej.

Obchód jubileuszowy odbył się w dniu 16 bm. w Państwowym Teatrze Polskim i był połączony z przedstawieniem „Grzechu" Żeromskiego, w której to sztuce Zelwerowicz stwarza znakomitą kreację w roli Jaskrowicza.

„SPAZMY MODNE" W „ATENEUM"

Ta obyczajowa komedia Wojciecha Bogusławskiego z 1797, posiadająca kilka żywych wypadów antyfeudalnych, jest w całości ciekawa raczej jako pozycja historyczna, jako etap pośredni między Oświeceniem a komedią Fredry. Mimo to — w inscenizacji Marii Wiercińskiej i z dekoracjami Jadwigi Przeradzkiej „Spazmy modne" przybrały w „Ateneum", nawet przy dość przeciętnym poziomie gry i nadużyciu miejscami elementu ruchu, kształt spektaklu dobrze wyreżyserowanego, stylowego i o właściwym tempie, który w sposób zabawny wprowadza w atmosferę epoki.

PIERWSZY W POLSCE TEATR WIEJSKI

Teatr Ziemi Łódzkiej ma już w swym dorobku dwa przedstawienia, z którymi prawie od roku objeżdża swój teren. Są to „Damy i huzary" Fredry oraz „Pieją koguty" Bałtuszisa. Reżyser teatru, Kazimierz Czyński, pisze w nr 2 „Teatru" o doświadczeniach swej pracy. Za czołowe zagadnienia teatru wiejskiego uważa sprawę „dzikich" występów, odstraszających od prawdziwego teatru; sprawę sal na wsiach; czasu na próby nowych sztuk; wreszcie — dublerów jako rezerwy aktorskiej. Autor słusznie przeciwstawia się tworzeniu wyodrębnionych zespołów przeznaczonych wyłącznie dla teatru wiejskiego, wypowiada się za swobodną wymianą sił między teatrem dla wsi i miast.

50-LECIE „WIŚNIOWEGO SADU"

Tę głośną sztukę Czechowa wystawił MCHAT 30 stycznia 1904 roku w reżyserii Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki, w oprawie scenicznej Simowa. W prapremierze wystąpili m. in. sam Stanisławski w roli Gajewa, O. L. Knipper, żona Czechowa, jako Rajewska, W. J. Kaczałow — Trofimow, M. F. Andrejewa — Waria. W ubiegłym półwieczu „Wiśniowy sad" pokazano, często z najznakomitszymi odtwórcami, ponad 1200 razy, grano go m. in. w Anglii, Włoszech, Japonii, Polsce, USA (w teatrze murzyńskim) i innych krajach.

PRZED 175 LATY ZMARŁ DAWID GARRICK

najznakomitszy aktor angielski (1717—1779). Jego występ w r. 1741 w roli Ryszarda III w teatrzyku na peryferiach Londynu stał się nową epoką w dziejach światowej sceny. Zamiast dotychczasowej deklamacji i rozrzutności gestu widzowie ujrzeli w grze Garricka prostotę i istotność wypowiedzi, psychologiczną motywację działania, prawdziwe oddanie rzeczywistych ludzkich uczuć. Ten styl przejawił Garrick później, przede wszystkim w rolach z 35 sztuk Szekspira. Realistyczne zasady gry i reżyserii zastosował jako współwłaściciel i kierownik artystyczny londyńskiego, Drury-Lane, czyli Covent-Garden Theatre. Garrick, będąc sam autorem trzech tomów utworów scenicznych, wprowadzał do inscenizowanych sztuk liczne poprawki dramaturgiczne. Wymagał od aktorów wnikliwej pracy na repetycjach, przygotowywał sztuki nieraz ponad rok. Dzięki gościnnym objazdom po Europie wywarł ogromny wpływ — w walce z klasycyzmem — na rozwój realizmu scenicznego. Zwolennikami jego stylu stali się m. in. Diderot, autor „Paradoksu o aktorze" i reformator baletu — Noverre.

WŁOSKIE TRIO SATYRYCZNE W PARYŻU

W La Comedie des Champs-Elysées występuje z programem pt. „Carnet de notes", rodzajem kabaretu literackiego bez dekoracji i rekwizytów, świetna trójka włoskich autorów, mimików i aktorów równocześnie, znana we Francji pod nazwą „les trois Gobbi". Są to Vittorio Caprioli, Alberto Bonucci i Franca Valeri, którzy z zespołem mediolańskiego „Piccolo Teatro" występowali już przed kilku laty w Paryżu, a współpracowali również w podobnych programach wraz z obecnym reżyserem filmowym, Vittorio de Sica.

o muzyce

ZGON JANA MAKŁAKIEWICZA

W nocy z 7 na 8 bm. zmarł w Warszawie w wieku lat 54 Jan Maklakiewicz — wybitny kompozytor i zasłużony działacz na polu upowszechnienia kultury muzycznej.

J. Maklakiewicz pozostawił bogaty dorobek kompozytorski. Do najwybitniejszych jego dzieł należą: Wariacje symfoniczne na tematy własne, Poemat symfoniczny do słów Kasprowicza „Święty Boże", Poemat symfoniczny do słów Broniewskiego „Pieśń o chlebie powszednim" (rok 1930), Koncert wiolonczelowy, Koncert skrzypcowy, balety „Cagliostro w Warszawie" (wystawiony m. in. w Pradze) i „Złota kaczka", Poemat symfoniczny „Grunwald", „Uwertura praska", trzy kantaty: „Komuna paryska", „Grenada" i „Żabrze", cztery suity ludowe, szereg pieśni, jak „Pieśń o Stalinie", „Pieśń o przyjaźni polsko-radzieckiej", 9 pieśni chłopskich i inne.

Nie zdążył ukończyć Suity koncertowej na fagot oraz opery „Wiatr halny", do której libretto napisał poeta-góral, Adam Pach.

o wszystkim

ROK MICKIEWICZOWSKI

5 i 6 bm. odbyła się w Warszawie — pod przewodnictwem prezesa Związku Literatów Polskich, Leona Kruczkowskiego, IX Sesja Rady Kultury i Sztuki poświęcona omówieniu Roku Mickiewiczowskiego.

W rezolucji przyjętej przez Radę Kultury i Sztuki postanowiono setną rocznicę śmierci Adama Mickiewicza obchodzić jako Rok Mickiewiczowski. Termin obchodów związanych z Rokiem ustalono na okres 26 listopada 1955 r. — 31 grudnia 1956 r. Rok Mickiewiczowski zainauguruje uroczyste posiedzenie Komitetu Mickiewiczowskiego i jubileuszowe przedstawienie „Dziadów".

NUMER SPECJALNY „ESPRIT" O WYCHOWANIU MŁODZIEŻY

W związku z toczącą się obecnie na łamach wielu pism polskich dyskusją na temat wychowania młodzieży warto zanotować fakt, że i w postępowych katolickich kołach francuskich problem ten jest żywo dyskutowany. Miesięcznik „Esprit" przygotowuje nawet w najbliższym czasie numer specjalny, poświęcony temu zagadnieniu. Celem tej publikacji nie będzie przedstawienie propozycji prowadzących do jeszcze jednej reformy szkolnictwa, lecz rozważenie wartości, jakie powinien posiadać współczesny człowiek. Najlepsi pedagodzy i nauczyciele Francji mają wziąć udział w ankiecie organizowanej na ten temat przez „Esprit", a ich wypowiedzi w dyskusji posłużą redaktorom tego pisma do opracowania artykułów, poruszających najbardziej ważkie problemy związane z wychowaniem młodzieży.

DYSKUSYJNA WYSTAWA

Otwarta w salach redutowych Teatru Narodowego wystawa projektów architektonicznych zabudowania śródmieścia Warszawy, tj. otoczenia centralnego placu im. Józefa Stalina — ma na celu nie tylko zapoznanie mieszkańców Warszawy z pracami architektów, ale i zasięgnięcie ich opinii. Dlatego na wystawie obecni będą architekci-projektanci, a dzienniki warszawskie organizują spotkania dyskusyjne.